Pobudka
TYGODNIK

W NUMERZE:
* Wielki intrygant Dalekiego Wschodu
* Cacy, cacy — Biurokracy
* Bijemy się w piersi

Łódź, dn. 6 kwietnia 1947
Rok III Nr. 14

CENA 5 ZŁ.

To nie są „strachy na Lachy"

Dużo się mówi o demokracji. O poszanowaniu człowieka przez człowieka. O ładzie i spokoju. O walce przeciwko faszystowskiej mafii, siejącej zamęt i zniszczenie, przygotowującej z wyrachowaniem grunt pod nową wojnę. O ideałach równouprawnienia i wolności.

Za najszczytniejsze ideały ludzkości, za „wolność naszą i waszą" — walczyły całe pokolenia, walczył wszechludzki obóz postępowy, walczył Socjalizm.

Zdawałoby się, że w wyniku doświadczeń znikną rzecznicy „wczorajszego dnia", rzecznicy prześladowania rasowego i narodowego, wyznaniowego i klasowego...

My, socjaliści polscy, jesteśmy ludźmi myślącymi realnie. My, socjaliści polscy, przestrzegaliśmy od początku, że dla zapewnienia ostatecznego zwycięstwa wszechbraterstwa — koniecznym jest zachowanie czujności. Wskazywaliśmy i wskazujemy, czy to się komu podoba czy nie, że faszystowskie niebezpieczeństwo istnieje nadal, że zwyciężony obóz zła nie daje za wygraną, że czyni wszystko, by umożliwić sobie krwawy odwet.

Byli tacy, którzy twierdzili, że termin „reakcja", że termin „faszyzm" — to są „strachy na Lachy", to są propagandowe chwyty. Byli tacy i są bodaj dziś jeszcze, którym się wydaje bajką z tysiąca i jednej nocy każde ostrzeżenie obozu postępowego o istnieniu i odradzaniu się metod hitlerowskiego gwałtu, faszystowskiego „nowego ładu"...

Że nie są to „strachy na Lachy", że nie są to puste frazesy — o tym przekonały nas i przekonać powinny innych FAKTY!

Raz po raz GINĄ W WOLNEJ POLSCE LUDZIE. Nasi rodacy w szarych żołnierskich mundurach, bezimienni bohaterowie walk o pokój wewnętrzny. Ostatnio skrytobójcze kule faszystowskie dosięgły człowieka trwającego niezłomnie na posterunku, uczestnika naszych walk wolnościowych, naszych walk o sprawiedliwy ustrój i bohatera walk o wolność odległego narodu hiszpańskiego. Padł gen. Karol Świerczewski.

Śmierć Jego jest smutnym dowodem słuszności naszej tezy. Śmierć Jego nie jest dziełem ludzi przypadkowych, kryjących się pod takim czy innym pseudonimem, — jak nie giną z rąk przypadkowych ludzi nasi żołnierze i bojownicy ideologii postępu. Ukraińska banda UPA — to JEDEN Z CZŁONÓW DZIAŁAJĄCEJ W EUROPIE FASZYSTOWSKIEJ MAFII, to jedno z ramion konspiracyjnej międzynarodówki wykwitłej na wzorach NSDAP, to siostrzyca organizacji spiskowych w dzisiejszych Niemczech, to siostrzyca czarnych i brunatnych koszul, to zło, które trzeba wytępić do szczętu jeśli pragnie się uniknąć nowych nieszczęść ludzkości.

Demokracja polska umiała wybaczyć. Nasza partia — PPS — walnie przyczyniła się do ogłoszenia ustawy amnestyjnej. Lecz nasza partia walcząca o Niepodległość i Socjalizm — nie może dopuścić, by kiedykolwiek w przyszłości kraj nasz i naród wyniszczany miał być biologicznie przez faszystowskich skrytobójców. MY SOCJALIŚCI, UMIEMY PRZEBACZAĆ ale umiemy też konsekwentnie walczyć z niedobitkami najeźdźców i katów, zwyrodniałych bandytów faszystowskiej międzynarodówki.

To nie są „strachy na Lachy"! Musimy być czujni i zdecydowani. Trzeba sobie to powiedzieć w momencie, gdy nad trumną bojownika wolności chylą się sztandary.

Jawicz

* * *

W poprzednim numerze informowaliśmy naszych Czytelników o akcji podjętej przez bratnie nasze wydawnictwo „Kurriera Popularnego".

Pod hasłem „w dniu 1-go Maja w każdym domu polskim socjalistyczna prasa" — zjednoczyły się we wspólnej akcji wszystkie nasze socjalistyczne jednostki partyjne, weterani walk z 1905 roku, bojownicy konspiracji i socjalistyczna OM TUR-owa młodzież.

Kiedy rzucone hasło 100.000 kompletów socjalistycznych pism — odpowiedzieli na nie towarzysze z terenu: 200.000!

W tej chwili — rozpoczęty wyścig naszej akcji prasowej trwa, co jest najlepszym świadectwem naszej żywotności. Skaczą cyfry zamówień na dziesięciozłotowe kupony prasowe, za zwrotem których nasi członkowie i sympatycy w dniu 1-go Maja otrzymają „Robotnika", „Kurier Popularny", „Pobudkę" i „Młodzi Idą". W zwiększonej objętości i świątecznej szacie. Wzrasta z dnia na dzień szlachetne współzawodnictwo grup i jednostek. Od Łodzi począwszy, na najbardziej nieznanych mieścinach i wioskach kończąc — każde Koło Partyjne, każdy świadomy członek PPS chce być pierwszym, posiada ambicję zdobycia nagrody nie dla materialnej korzyści lecz z chęci spełnienia zaszczytnego obowiązku.

Słowo socjalistyczne, zawsze to samo — w dniu święta mas pracujących dotrze do wszystkich świadomych Polaków! Troszczcie się o to Wy, Towarzyszki i Towarzysze!

A przechodni sztandar prasowy PPS i 10 nagród indywidualnych — będzie świadectwem pięknego zwycięstwa w szlachetnym socjalistycznym współzawodnictwie.

W Waszych rękach leży, kto świadectwo to uzyska.

Przyszłość kolonii włoskich

Traktat pokojowy z Włochami postanawia, że kolonie włoskie w Afryce: Libia, Erytrea i Somali pozostają w oczekiwaniu dalszych decyzji nadal pod administracją brytyjską. Rządy Związku Radzieckiego, Anglii, Stanów Zjednoczonych i Francji powezmą w tej sprawie wspólnie ostateczną decyzję w ciągu jednego roku od wejścia w życie traktatu pokojowego z Włochami.

Obecnie W. Brytania zwróciła się do pozostałych trzech mocarstw z propozycją spotkania zastępców ministrów spraw zagranicznych, żeby rozpatrzeć sprawę byłych kolonii włoskich i przygotować zlecenie doradcze dla rady ministrów spraw zagranicznych.

Traktat pokojowy z Włochami ustala między innymi sposób w jaki powzięta będzie decyzja. Wielkie mocarstwa, podejmując postanowienia i ustalając granice mają brać pod uwagę dobrobyt i życzenie mieszkańców tych kolonii, zabezpieczenie pokoju i zapatrywania innych zainteresowanych rządów. W wypadku różnicy zdań między mocarstwami sprawa będzie przekazana Radzie Narodów Zjednoczonych, której zalecenia będą ostateczne.

Równy z równym

Każda wojna jest dla ludów kolonialnych okazją do wzmożenia walk wyzwoleńczych o swoją niepodległość. Udział wojsk kolorowych w ostatniej wojnie był stosunkowo znaczny. Nic dziwnego zatym, że po powrocie do domów rodzinnych Hindusi, ludy Indochin i Indonezji zażądały dla siebie praw suwerennych. To też jesteśmy obecnie świadkami dążeń niepodległościowych niemal wszystkich ludów kolorowych. Anglia idzie na stosunkowo duże ustępstwa w Indiach. Terenem wojny domowej jest ta część Indochin, która znajduje się pod władzą Francuzów. Długotrwałe boje stoczyli Indonezyjczycy z Holandią.

Komunikaty prasowe zapowiedziały ostatnio zakończenie walk w Indonezji. Zwycięstwo, choć nie całkowite jeszcze znajduje się po stronie pokrzywdzonych. W rezultacie układów pokojowych — z kraju tego zostały utworzone Stany Zjednoczone Indonezji przy koronie holenderskiej. Indonezyjczycy wybiorą własny parlament w swobodnych wyborach. Parlament skolei wyłoni rząd. Powiązanie z Holandią pozostanie stosunkowo niewielkie, dotyczy ono w pierwszej mierze współpracy gospodarczej. Przedstawiciel „korony holenderskiej" po uroczystym ogłoszeniu Stanów Zjednoczonych Indonezji oświadczył, że dopiero teraz naród indonezyjski i holenderski będą ze sobą współpracowały jako równy z równym.

Zażegnany konflikt

Część Indochin jest kolonią włoską. Przed kilku tygodniami wybuchła w tym kraju wojna skierowana przeciwko Francji. Wojna ta miała bardzo poważny wpływ na sytuację wewnętrzną państwa francuskiego i omal że nie stała się przyczyną nowego kryzysu rządowego.

Powodem tej sytuacji było stanowisko komunistów, którzy zdecydowanie opowiedzieli się przeciwko dalszemu kontynuowaniu walki w Indochinach. Wszyscy posłowie komunistyczni nie przyszli na posiedzenie Zgromadzenia Narodowego w momencie głosowania nad votum zaufania dla premiera Ramadier i jego rządu. Sytuacja była tak poważna, że minister spraw zagranicznych Francji Bidault liczył się z powrotem do kraju z konferencji moskiewskiej.

Ażeby nie dopuścić do upadku rządu — komuniści w ostatniej chwili zdobyli się na stanowisko kompromisowe. W takich warunkach pozostałymi głosami Zgromadzenia Narodowego zostały uchwalone kredyty na dalsze prowadzenie wojny w Indochinach. Wskutek tego rząd Ramadiera sprawuje nadal władzę bez żadnych zmian w gabinecie.

ODNOWIENIE TRAKTATU RADZIECKO-ANGIELSKIEGO

Anglia — jeszcze w okresie trwania wojny zawarła ze Związkiem Radzieckim porozumienie polityczne, które zmierzało do wzajemnej współpracy nie tylko w okresie wojennym lecz i powojennym, gdyż czas trwania tego układu ustalony był na lat 20.

W okresie powojennym różnica poglądów między wspomnianymi mocarstwami na wiele zagadnień międzynarodowych spowodowała ochłodzenie współpracy. Doszło wreszcie do listownej wymiany poglądów w której poruszone były warunki porozumienia. W rezultacie wyjaśniono częściowo nieporozumienia i poglądy i oba mocarstwa wyraziły przekonanie, że potrzeba kontynuowania umowy istnieje, powinny być tylko zmienione w związku z powstaniem ONZ niektóre jej sformułowania.

Należy przypomnieć, że ostrze tego porozumienia było i jest wymierzone w pierwszej mierze w Niemcy i ewentualnie przeciwko każdemu innemu napastnikowi, który naruszyłby granice Związku Radzieckiego czy Anglii.

Minister spraw zagranicznych Bevin skorzystał z pobytu w Moskwie i odwiedził Stalina. Konferencja doprowadziła do wymiany poglądów i do ustalenia pewnych wytycznych na przyszłość: Z brzmienia komunikatów prasowych wynika, że rozmowy te odniosły pozytywny skutek, rezultatem którego będzie przedłużenie paktu radziecko-brytyjskiego na lat 50. Fakt ten należy traktować jako jeszcze jedno osiągnięcie na drodze do pokojowej stabilizacji świata.

ŻOŁNIERZE POLSCY WRACAJĄ DO KRAJU

Sprawa powrotów polskich żołnierzy z Anglii ruszyła wreszcie z martwego punktu. Władze brytyjskie wydały oświadczenie, w którym zapowiadają ze swej strony, że poczynią ułatwienie w przygotowaniu powrotu. W konsekwencji do kraju będzie mogło wracać miesięcznie około 15 tysięcy żołnierzy. Społeczeństwo polskie przyjmuje tego rodzaju fakt z uczuciem dużego zadowolenia. Zbyt długa bowiem i wielokrotnie tragiczna w skutkach była rozłąka żołnierzy polskich z krajem ojczystym.

Należy przytym podkreślić, że ci żołnierze polscy, którzy zdecydowali się na powrót do kraju byli zmuszeni do przebywania w obozach szkockich, gdzie traktowano ich jako podejrzanych wyłącznie dlatego, ponieważ wyrazili chęć powrotu do kraju.

Władze brytyjskie zapowiedziały jednocześnie, że część żołnierzy polskich wysłana będzie do Niemiec, gdzie nastąpi ich demobilizacja. Polskie przedstawicielstwo dyplomatyczne w Londynie wystąpiło z protestem przeciwko tej formie postępowania. Demobilizacja bowiem każdego żołnierza walczącego z faszyzmem i hitleryzmem jest zbyt uroczystym aktem, aby ją wiązać z terenem zamieszkałym przez naród, który dążył do biologicznej zagłady Polaków i do ujarzmienia innych narodów.

Do Polski wróci w niedługim czasie polska flota wojenna, która pozostawała podczas wojny pod dowództwem angielskim Polskie okręty wojenne pierwsze w świecie w czasie walk o Gdynię i Hel zadokumentowały wolę polskiego narodu bezkompromisowej walki — aż do zwycięskiego końca. Okręty te w czasie późniejszych działań wojennych godnie reprezentowały Polskę u boku potężnej floty brytyjskiej. Powrót tej floty do kraju jest dziś słusznym powodem do radości.

A. P.

Przegląd PRASY

Ho-Chi-Minh

„Świat i Polska" zamieszcza w dziale „Ludzie i zalety" interesującą notatkę o prezydencie Viet-Namu. Czytamy w niej:

Galowe przedstawienie w Operze Paryskiej miało tym razem specjalnie uroczysty charakter.

Uroczysta czerń dyplomatów i dygnitarzy państwowych, przeplatana bogato wyorderowanymi mundurami i różnokolorowymi toaletami najwytworniejszych kobiet Paryża, otaczała skromnego mężczyznę niewielkiego wzrostu, ubranego w prosty mundur koloru khaki bez dystynkcyj i orderów. Mężczyzną tym był prezydent Viet-Namu Ho Chi Minh, potężna i ciekawa indywidualność, przybyły do Paryża na konferencję z rządem Francji w sprawie warunków na jakich Viet-Nam zgodzi się być włączony w orbitę Unii Francuskiej. *Ho Chi Minh* żądał dla swego państwa własnej armii, własnej polityki zagranicznej, własnej polityki gospodarczej. Domagał się przyłączenia do Viet-Namu Kochinchiny, jako niezbędnego, ekonomicznego terytorium obfitującego w ryż. Ho Chi Minh żądał. Był nieustępliwy, chłodny, trochę tajemniczy.

Jego asceza wywołuje małą sensację w kołach towarzyskich, gdy na bankiecie wydanym na cześć egzotycznego gościa, Ho Chi Minh prosił tylko o suchy ryż i trochę gorzkiej herbaty. „Nie mogę hulać, dopóki mój lud cierpi nędzę" — powiedział w zamyśleniu.

Ho Chi Minh należy do pokolenia rewolucjonistów z ducha, którzy w międzywojennym okresie kultywowali w sobie ideę zwycięstwa rewolucji. Duchowi potomkowie Lenina, niegdyś zmuszeni do słuchania rozkazów, dziś sami rozkazują, niegdyś rządzeni, dziś sami rządzą, niegdyś szare nic nieznaczące pionki, dziś szefowie państw, przyjmowani hymnem swojego państwa i kompanią honorową. Ci ludzie, do których należy Ho Chi Minh, syn biednej rodziny chłopskiej z północnego Annamu, tworzą dziś coś w rodzaju dynastii, której członkowie związani są ze sobą węzłami nie krwi, lecz tej samej idei.

Ho Chi Minh zawdzięcza swoje stanowisko nie tylko niezachwianej wierze w ideę partii, lecz także głębokiej znajomości świata. Jako czternastoletni chłopiec w charakterze okrętowego boya przemierza oceany i morza, ze wschodnią cierpliwością i zgoła niezwykłą pilnością ucząc się różnych języków. Kiedy wreszcie osiada we Francji, mówi po rosyjsku, licznymi dialektami chińskimi, po angielsku, japońsku, francusku i trochę po hiszpańsku.

Pierwszy raz przybył do Paryża, żeby podczas konferencji wersalskiej zetknąć się osobiście z wielkimi ludźmi ówczesnego świata, a przede wszystkim z Wilsonem, żeby im przedstawić konieczność utworzenia niepodległych Indochin. Znajduje posłuch tylko u francuskich socjalistów, wrogo nastawionych do francuskiej polityki kolonialnej.

Zakłada „Union internationale des hommes de couleur" i redaguje jego organ „La Paria", w którym atakuje okrutne metody francuskiej polityki kolonialnej, za co zostaje wydalony z granic Francji.

W ciągu następnego dwudziestolecia tuła się Ho Chi Minh po świecie, jest w Bostonie, Kantonie, Moskwie, Szanghaju, Hong Kongu, Birmie, Syamie, Indonezji, a czasem odwiedza ojczyznę — Indochiny. Jego postać widzi się na kongresach „uciśnionych narodów kolonialnych" w Brukseli, słyszy się jego głos na imprezach organizowanych przez Komintern. Więziony w Hong Kongu przez Anglików wypływa w 1941 r. w Czunkingu, gdzie rozpoczyna organizowanie rozbitych indochińskich stronnictw politycznych w jedną partię Viet-Minh (Front Narodowy).

Ho Chi Minh w czasie swego pobytu w Paryżu wydał przyjęcie dla członków rządu, dyplomacji, sfer towarzyskich. Podano tylko herbatę i róże, świeże, przepyszne, pachnące róże w jakichś niezwykłych, fantastycznych, jak wschodnia bajka, ilościach. Ale goście wnet poznali że to nie były pieczołowicie wypielęgnowane kwiaty cieplarniane, bo twarde i ostre ciernie pozostawiały znaki na delikatnej materii letnich sukien. Gdy przyjęcie dobiegało końca, na podłodze leżały stosy róż, z których poopadały płatki i sterczały tylko uparte, twarde, raniące ciernie. Ho Chi Minh, jak wszyscy ludzie wschodu, lubi posługiwać się przenośniami.

KRONIKA
wydarzeń międzynarodowych

W oświetleniu moskiewskim Ameryka poprzez pomoc dla Grecji i Turcji zmierza do stworzenia sobie pozycyj strategicznych na morzu Śródziemnym i Środkowym Wschodzie, jako przyczółek dla „dyplomatów dolarowych" i monopolistów naftowych".

Poraz pierwszy od swego powstania chicagowski oddział Związku Narodowego Polskiego w Ameryce poparł publicznie listę partii republikańskiej w zbliżających się wyborach do Zarządu Miejskiego w Chicago. Dotychczas Polonia w tym mieście stanowiła oparcie dla partii demokratycznej.

Czang Kai Szek projektuje w przyszłym miesiącu podróż do Waszyngtonu i Londynu.

Szkody, wyrządzone wskutek powodzi w Anglii, sięgają 20 milionów funtów. Według oświadczenia przewodniczącego związku farmerów brytyjskich — straty są tak wielkie, że rolnictwo angielskie o własnych siłach nie będzie w stanie wydźwignąć się z kryzysu. Z tych względów wzywa przemysł angielski do subskrybowania pożyczki na fundusz pomocy rolnikom.

W Zagłębiu Ruhry rozpoczęły się masowe strajki i demonstracje ze strony robotników niemieckich, którzy domagają się podwyższenia racji żywnościowych i lepszych warunków mieszkaniowych. Zarządzono ostre pogotowie wojsk brytyjskich.

W wygłoszonym w Berlinie przemówieniu Schumacher zaznaczył, że nowy niemiecki nacjonalizm, powstający jako reakcja przeciwko „bezlitośności świata" stanowi wielkie niebezpieczeństwo dla Niemiec, ładu europejskiego i pokoju świata. Pod adresem Wielkich Mocarstw oświadczył: „Gdybyście traktowali Hitlera tak, jak nas obecnie, nie stał by się on nigdy niebezpieczeństwem dla pokoju świata".

W najbliższym czasie ma przybyć do Grecji 12 amerykańskich okrętów wojennych, włączając w to jeden lotniskowiec. Zapowiedziane jest, iż amerykańska pomoc wojskowa dla Grecji będzie udzielona w formie zaopatrzenia armii w całkowicie zmotoryzowany sprzęt w stosunkowo niewielkiej ilości, lecz posiadający wysoką zdolność bojową.

Celem zbadania trybu wykonywania umowy handlowej polsko-francuskiej wyjeżdża podczas świąt do Paryża polska misja handlowa pod przewodnictwem dr. Kowalskiego.

Rzecznik ministerstwa spraw zagranicznych oznajmił, że Wielka Brytania odrzuci prośbę Jugosławii o pomoc żywnościową.

Z kół stojących blisko rumuńskiego ministerstwa skarbu donoszą, że Rumunia spłaci z łatwością wszystkie swoje długi wewnętrzne od 1 kwietnia dzięki inflacji rumuńskiego pieniądza.

Zwierciadło tygodnia

Wyrachowanie kupieckie jest częścią składową charakteru narodowego Amerykanów. Przeciętnemu Yankesowi wydaje się że dolar jest wszechwładny i że jego potędze nic nie potrafi się oprzeć. Te poglądy dają się zauważyć na każdym kroku, a niejednokrotnie dochodzą one do głosu również na forum polityki międzynarodowej. Przykładów na potwierdzenie tego — ostatnie tygodnie dostarczają nam w dostatecznej ilości.

Ostatnie wystąpienie Trumana, zapowiadające ofensywę dolarową na Grecję i Turcję, mającą na celu uzależnienie gospodarcze tych państw od ich możnych protektorów z za oceanu, przyczyniło się w znacznym stopniu do zapomnienia jednej z wcześniejszych amerykańskich propozycji kupieckich. Jak wiadomo, w Ameryce gośno zaczęto już mówić, że za taką, a taką ilość dolarów opłacałoby się kupić od Danii Grenlandię, na której terenie z powodzeniem możnaby wybudować bazy. Jak wiadomo — w amerykańskich rachubach na przyszłość — bazy na tych czy innych terenach odgrywają niepoślednią rolę.

O tej przebrzmiałej sprawie przypomnieli ponownie najbardziej w niej zainteresowani, mianowicie sami Duńczycy. Jedno z pism duńskich uznało za wskazane jeszcze raz stwierdzić, że Grenlandia nie jest do sprzedania i nie wolno wystawiać jej na sprzedaż. Cała Dania, a wraz z nią i Skandynawia, ze zdumieniem dowiaduje się o propozycji amerykańskiej. Yankesi winni się liczyć ze zdaniem ludności tej wyspy.

Ciekawe czy Amerykanie powrócą jeszcze do swych propozycji.

***

Jesteśmy świadomi faktu, że zbrodnicze metody hitlerowskie mogły być stosowane w tak szerokim zakresie tylko dlatego, że odpowiadały one większości narodu niemieckiego. Stąd — nie tylko taka sama masa wykonawców wszelkiego rodzaju zbrodniczych akcji, ale jednocześnie fakt, że nigdy one nie były zdecydowanie potępione przez naród niemiecki (naturalnie w okresie rządów hitlerowskich — teraz to nie sztuka).

Prasa niejednokrotnie zwraca uwagę na fakt, że Niemcy często wyrażają opinię, że żal im jest minionego okresu świetności wielkich Niemiec. Przejawia się to nie tylko w aktach sabotażu, mających na celu zwalczanie nowego porządku w Niemczech, ale i w naśladowaniu starych wypróbowanych metod niemieckich władców i rządów.

Niemiecki tygodnik „Die junge Welt" donosi o tego rodzaju praktykach pewnego kierownika „Arbeitsamtu" w niewielkim mieście Reichenbach. Kierownik ten okazał się gorącym entuzjastą hitlerowskich metod wychowawczych, uważając najwidoczniej, że były i są one niezawodne. Zarządził on mianowicie, aby zdolna do pracy młodzież, która zgłosiła się do „Areitsamtu", poprowadzono do miejsca pracy z ostrzyżonymi głowami i w drewnianych butach pod eskortą policji.

Ciekawę kiedy nareszcie Niemcy zrozumieją, że dawne metody przecież zawiodły. Obawiamy się, że nie prędko to nastąpi, że przyjdzie im jeszcze niejednokrotnie przekonać się o zmyłce...

***

W obliczu odbywającej się konferencji czterech ministrów w Moskwie, którzy zadecydować mają o przyszłości Niemiec, ze strony niemieckiej coraz częstsze stają się głosy, mające wywołać przychylną opinię dla narodu, który niedawno jeszcze głosił zagładę całej ludzkości i starał się ją zrealizować. Rzecz zrozumiała, że najczęściej poruszana jest najbardziej bolesna dla Niemców sprawa utraconych na rzecz Polski terenów wschodnich.

Amerykański dziennik „New York Times" powtarza argumenty kół niemieckich, uważających, że przez przyłączenie, ziem nad Odrą i Nysą do Polski wyrządzono wielką krzywdę Niemcom. Warto przysłuchać się tym wołaniom „biednych pokrzywdzonych Niemców".

Otóż okazuje się, że koła niemieckie upierają się przy tezie, iż ziemie nad Odrą, w Prusach Wschodnich i w Poznańskim (!) były najżyźniejszymi terenami i dostarczały wielkich ilości żywności Niemcom...

Argument być może z punktu widzenia niemieckiego słuszny, a jednocześnie przypominający, że właśnie dla uzyskania tej żywności zostały w przeszłości po prostu Polsce zagrabione. My znamy apetyty niemieckie i wiemy już dobrze, że są one nieposkromione, że niemiecka „przestrzeń życiowa" — to pojęcie bardzo rozległe, ogarniające w razie sprzyjających warunków nie tylko obszary całej Europy ale rozciągające się na cały świat.

Jesteśmy przekonani, że dla dobra całej ludzkości a nie tylko nas samych — lepiej o wiele będzie, gdy Niemcy zaspakajać będą swój nienasycony głód w jakikolwiek inny sposób — lecz nigdy kosztem innych narodów.

***

Prezydent Truman w swym głośnym przemówieniu, w którym występował do Kongresu z żądaniem przyznania 100 milionów dolarów na pomoc dla Grecji, uzasadniał to żądanie szeroko — ciężkimi warunkami powojennymi, w jakich kraj ten się znajduje. Wprawdzie wiemy, że za chęcią przyjścia z pomocą Grecji kryje się coś innego, ale wierzymy, że i w Grecji jak i w innych krajach dotkniętych wojną — sytuacja gospodarcza jest ciężka i że stosownie do tego odpowiedzialne w chwili obecnej czynniki postępują.

Dlatego też nie tylko nasze, ale i dyplomatów zdziwienie wywołał fakt urządzenia nadzwyczaj wystawnego przyjęcia, urządzonego przez ambasadę grecką w Moskwie dla członków konferencji moskiewskiej.

W ambasadzie greckiej zebrało się ponad tysiąc gości, stoły uginały się pod najbardziej kosztownymi daniami. Koszty przyjęcia oblicza się na kilka tysięcy funtów szterlingów.

Trudno to nam zrozumieć. Nam by się wydawało, że przecież i ci którzy czekają na pomoc i ci którzy gotowi są jej udzielić — ze względu na ciężkie warunki i powszechne zubożenie — winni przecież czuć się w pewnym stopniu upokorzeni.

(Stk.)

Wszystkim czytelnikom i sympatykom życzenia Wesołych Świąt składa — Redakcja.

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Przed kilku tygodniami odczuwaliśmy bardziej niż poważne trudności w związku z chronicznym brakiem papieru. Kilka kolejnych numerów naszego tygodnika przygotowywaliśmy z lekkim do ostatniej chwili drżeniem: wyjdzie numer — czy nie wyjdzie..... Dokona administracja cudu i wydobędzie skądś papier, czy też wreszcie utknie i zakomunikuje nam: numeru nie wydamy, bo papieru „nima"!

Przebrnęliśmy jakoś. Co tydzień na innym papierze, raz nawet na takim formacie, który nie tylko podrożył nam koszta druku o sto procent, ale dał w rezultacie numer, za który musieliśmy Was, drodzy czytelnicy, przeprosić — ale przebrnęliśmy.

I wydawało nam się, że będziemy wreszcie mieć spokój. Zaczęliśmy nawet uśmiechać się radośnie do siebie, a nasz administrator przybył na wadze kilkanaście kilo. Co innego, że jeszcze ciągle w jednym tygodniu papier jest gorszy, a w innym — lepszy, ważnym jest jednak, że wogóle — jest!

I raptem...

FERALNY ROZDZIELNIK...

Dziś jest wtorek, pierwszy kwietnia. Prima aprilis.

Dziś oddajemy resztę materiału do drukarni, a jutro rano przystępujemy do łamania numeru. Wieczorem jutrzejszego dnia numer świąteczny musi być zmatrycowany, w nocy — wydrukowany, a w czwartek — rzucony do kolportażu.

Tymczasem...

Tymczasem znów (a w tej chwili zbliża się godzina 17!) zastanawiamy się: ukaże się numer — czy też nie ukaże?... Zastanawiamy się, bo po południu wrócił z Centrali Zbytu Papieru nasz administrator i oświadczył, iż potrzebnej ilości papieru nie dostaniemy. Nie dostaniemy nawet jednego kilograma.

Dlaczego?... Czyżby znów zabrakło papieru w łódzkich magazynach?

Nie! Papier jest!... Tylko...

Tylko Centralny Zarząd Przemysłu Papierniczego nie otrzymał do dnia dzisiejszego odpowiedniego rozdzielnika papieru dla województwa łódzkiego na drugi kwartał bieżącego roku i według kompetentnych oświadczeń, papieru nam nie może wydać.

I NIBY WSZYSTKO W PORZĄDKU

I my absolutnie nie próbujemy dopatrywać się czyjejś złej woli w tym wypadku. Przyznajemy to z ręką na sercu. Wiemy, że rzeczywiście, zdarza się, iż bez zezwolenia władz centralnych nie wolno czasem — pewnych rzeczy z magazynów wydawać.

Ale równocześnie wiemy, że Centrala Zaopatrzenia i Zbytu Przemysłu Papierniczego przesłała nam przed tygodniem pismo, wzywające nas do sporządzenia i przesłania zapotrzebowania odpowiedniej ilości i jakości papieru na drugi kwartał br.

Pismo nosiło datę 24 marca br. i wzywało nas do przesłania danych cyfrowych w terminie 10-cio dniowym. Już 25 marca br. Centrala Zaopatrzenia i Zbytu otrzymała nasze odpowiednio sformułowane zestawienie.

I niby wszystko w porządku. I niby tylko — ta Warszawa!...

NIEPOTRZEBNE KWASY

Dla porządku stwierdzić musimy, że przedstawiciel Centralnego Zarządu Przemysłu Papierniczego zaproponował nam nawet, byśmy pojechali (niby dziś jeszcze!) do Warszawy do Ministerstwa Informacji i Propagandy i tam wydobyli odpowiednie zezwolenie na wydanie przez łódzki Oddział Zbytu potrzebnego nam papieru.

W tej chwili jest godzina 17. Uczciwie stwierdzić muszę, iż w tej chwili podczas gdy ja piszę, pozostali towarzysze w dalszym ciągu zastanawiają się — co robić.

Może pojadą do Warszawy, może, gdy jutro uderzy się pięścią w stół — papier z magazynu zostanie nam wydany, może znów dobrzy ludzie pomogą... Nie wiem!

Wiemy tylko — że numer MUSI wyjść! I że — numer WYJDZIE!...

A jeśli to wszystko piszę, to jedynie poto, by zwrócić uwagę na jeszcze jeden fakt utrudniania sobie pracy, na fakt stwarzania niepotrzebnych zadrażnień i kwasów.

CHOĆ PAPIER LEŻY...

Bo kiedy przed kilku tygodniami towarzysz Hochfeld ogłosił w „Robotniku" artykuł omawiający ówczesne trudności papierowe, z zwróceniem uwagi na pewne dziwne aspekty tych trudności, na który to artykuł nota bene panowie z papierniczej dyrekcji odpowiedzieli — pewne niejasności zostały rozgryzione i wyjaśnione.

Chcielibyśmy, by może i ta sprawa — spokojnie, rzeczowo, bez żadnego niepotrzebnego unoszenia się — została wyjaśniona.

Bo w tej chwili jest dla mnie faktem bezspornym, że gdybyśmy poprzestali na dzisiejszych staraniach z naszej strony i uznali udzielone nam wyjaśnienia i odpowiedzi za ostateczne — świąteczny numer „Pobudki" w czwartek nie ukazałby się w żadnym wypadku, mimo, iż papier jest! Mimo, iż papier leży w magazynach.

Nieprawda?... I wtedy czy mielibyśmy prawo denerwować się i wnosić pretensje do C.Z.P.P.?...

BĘDZIE LEPIEJ

Jestem jednak przeświadczony — iż „Pobudka" ukaże się i dojdzie w odpowiednim terminie do rąk naszych przyjaciół, towarzyszy i wiernych czytelników.

I dlatego byłoby niegrzecznością z mojej strony, gdybym w tym odcinku nie złożył świątecznych życzeń tym wszystkim, którzy cierpliwie mnie czytują co tydzień. Nieprawda?...

Niech więc Wam się dobrze dzieje, towarzysze! Ja wiem, że dziś nie wszystkim jest Wam jeszcze dobrze, że macie tak wiele, bardzo wiele różnorakich trudności, że borykacie się z tym i z tamtym, że nie możecie się przyzwolcie ubrać i ten Wasz świąteczny stół — też nie będzie tak zastawiony, jakbyście sobie życzyli... Taka jest, niestety, jeszcze dziś nasza rzeczywistość.

Ale równocześnie wiem, iż Wy wszyscy, którzy jesteście naszymi przyjaciółmi, którzy jesteście odbiorcami i czytelnikami prasy socjalistycznej — rozumiecie powody tej nienadzwyczajnej jeszcze sytuacji.

I dlatego Wam z czystym sumieniem mogę mówić właśnie takie słowa: niech się dobrze dzieje!... Niech się Wam lepiej dzieje!...

Bo jeszcze nie jest dobrze. Ale gorzej nie będzie. Będzie lepiej! Napewno!

Więc niech te Wasze święta będą spokojne i miłe! I niech za rok — będą lepsze!

rys.

SANACYJNY SEJM
PUŁKOWNIKOWSKIE MANEWRY
I RZĄDOWA PARTIA

PRZYPO

Rozkład moralny sanacyjnego Sejmu postępuje szybko naprzód. Wyszły z wyborów sławkowych, nieposiadający żadnego kontaktu z krajem, kłopoczący się o sposoby uboju zwierząt, Sejm jest instytucją, na którą nikt nie zwraca uwagi, której nikt nie ceni. Prawdę tę potwierdził sam rząd, zgłaszając na zakończenie sesji sejmowej żądanie udzielania mu pełnomocnictw.

Wywołało to wielką burzę na Wiejskiej. Jakto? Pełnomocnictwa na okres urlopu sejmowego były przecież ucieczką rządu przed nieprzyjemnym głosem opozycji. Dziś w Sejmie opozycji nie ma. Przed czym więc rząd ucieka?

Generał Żeligowski stanął na trybunie i rzucił rządowi takie votum nieufności:

„Jeżeli jakiś zarzut mam uczynić Rządowi, to chyba ten, że nie chce on wierzyć w swoje siły i nie wierzy w siły Narodu. A tymczasem te siły są wielkie i czekają tylko wielkiego programu, za którym pójdą z największym zaufaniem... Stosunek ludu do Rządu jest powściągliwy, nawet — niedowierzający".

Tenże poseł taki rozpaczliwy kreśli obraz Polski:

„Ciągle jesteśmy świadkami, że przy nadmiarze chleba mamy głodnych, przy nadmiarze pracy mamy bezrobotnych, przy nadmiarze inteligencji — analfabetyzm, przy nadmiarze dobrej woli — bierność i brak wiary we własne siły. Podczas, gdy cukier wywozi się za grosze, tysiące dzieci nie widziały cukru w życiu, podczas gdy mamy obfite złoża nafty — wieś nasza żyje w ciemności.

Dlaczego, na miłość Pana Boga, tak się dzieje? Kiedy sobie wreszcie na to odpowiemy. Chcę tu oskarżyć samego siebie: widocznie nie wierzymy w ten naród. Nie mamy zdolności organizacyjnych i dlatego będę głosował przeciw pełnomocnictwom, gdyż uważam, że nie postawiono wielkiego planu na przyszłość, że gubimy się w szczegółach".

Akt oskarżenia pod adresem rządu mocny i wyraźny. Silna grupa posłów głosowała przeciwko pełnomocnictwom. Rząd narazie ocalał; ale co będzie dalej? Przy sprawie uboju rytualnego stanowisko Rządu ocalone zostało zaledwie siedmioma głosami większości. Przy ustawie o Trybunale Stanu, Rząd znalazł się w mniejszości. Grupa pułkowników jak może obrzydza życie p. Kościałkowskiemu, przygotowując sobie teren do powrotu.

Aby się ratować, Rząd utworzył na terenie parlamentu swoją partię pod nazwą Związku działaczy społecznych miast i wsi. Pułkownicy mają również swoją partię w postaci t.zw. klubu dyskusyjnego

To wszystko jednak nie odzwierciadla nastrojów społeczeństwa, a jest wyrazem wewnętrznego zżerania się obozu sanacyjnego.

Sanacyjny Sejm kończy swój krótki, niesławny żywot.

(„Tydzień Robotnika" nr. 17, rok 1936)

Prowadzimy wytrwałą walkę o wolność słowa w Polsce

Sprawa walki o wolność słowa w Polsce, specjalnie o wolność prasy, staje się najbardziej palącą koniecznością. Ograniczenie swobody wypowiadania się zaczyna dotykać nie tylko prasę robotniczą i opozycyjną, ale ograniczać zaczyna coraz większy zakres spraw i zagadnień, o których wogóle nikomu pisać nie wolno.

Rola cenzury została zupełnie całkowicie uwydatniona w sprawie ostatnich wypadków krakowskich. W sprawie wydarzeń, które poruszyły opinię całego kraju, ograniczać się musiała do suchych komunikatów. Dało to powód nawet pismom prorządowym do wystąpienia przeciko cenzurze. Nie mogąc wypowiedzieć całkowicie swej opinii, podajemy to, co pisze prasa sanacyjna.

I.K.C., omawiając wypadki krakowskie pisze tak :

„Z całą szczerością chcemy poruszyć sprawę błędnej taktyki, stosowanej u nas przez władzę. Nie mamy na myśli jakichś oderwanych wypadków, czy władz lokalnych, idzie nam o system, który stosuje się centralnie i systematycznie i który musi wydać złe owoce. Mówimy o niedocenianiu roli opinii publicznej i jej wyrazicielki, to jest prasy. Stara Rosja wychodziła zawsze z założenia, że opinia publiczna jest wrogiem władzy, a prasa szkodliwym elementem. Przypomina się anegdota o owym oficerze żandarmów rosyjskich, który wysyłany przez cara zagranicę, wyraził tęsknotę za udaniem się do Norymbergii i napluciem w twarz pomnikowi Gutenberga. „Ten łajdak wymyślił druk, a od druku wszelkie zło pochodzi". To też na przestrzeni kilkunastu lat widzimy niepokojące nas zjawisko, iż o różnych faktach, sprawach dnia codziennego, o ile są tylko trochę drażliwe, władze zachowują absolutne milczenie, a równocześnie występują w formie konfiskaty przeciwko próbie samodzielnego, niekrępowanego omawiania ich na łamach prasy...

Istnieje przecież cenzura, która w wypadku napisania jawnej nieprawdy może wkroczyć, ale nie można „gleichszaltować" opinii i posuwać tego aż do urzędowych komunikatów w sprawach, które tak żywo obchodzą i podniecają ogół.

Rozsądna polityka prasowa jest znacznie lepszą metodą uspokajania opinii, niż argumenty siły fizycznej ,którą musi się stosować na ulicy".

Konserwatywny „Czas" z powodu

MINAMY

skonfiskowania dwóch artykułów pisze tak:

„Mianowicie została u nas wprowadzona cenzura. Władza administracyjna zawiadamia redakcje, że nie pozwala na zamieszczenie pewnej wiadomości pod zagrożeniem konfiskatą. Taki właśnie zakaz został wydany spowodu bolesnych zajść krakowskich. Stwierdzić należy, że takie zakazy nie mają żadnego uzasadnienia w ustawodawstwie prasowym".

Tyle pisma rządowe. Prasa socjalistyczna ze swych dziesięcioletnich przeżyć pod władzą cenzury mogłaby tomy spisywać. To, co dla „Czasu" jest wielką tragedią, to dla nas chleb powszedni. Ale i my nigdy się do niego nie przyzwyczailiśmy i nie przyzwyczaimy.

Walka o wolność prasy w Polsce nie ogranicza się zresztą do sprawy cenzury. Przed wolnym, niezależnym słowem w Polsce spiętrzono szereg wielkich przeszkód. Przykładem monopol kolportażowy „Ruchu", przykładem choćby ostatnie rozporządzenie wojewody krakowskiego o kolportażu pism, które postanania, iż

„powiatowa władza administracji ogólnej może w każdej chwili cofnąć zezwolenie na wykonywanie ulicznego kolportażu druków w razie niestosowania się do przepisów dotychczasowych porządku, bezpieczeństwa i spokoju publicznego"

Widzimy więc, że cała **WOLNOŚĆ PRASY ZALEŻY OD OKREŚLENIA PRZEZ POLICJANTA**, czy nie zagraża porządkowi, bezpieczeństwu i spokojowi publicznemu. A ponieważ prasa robotnicza niewątpliwie psuje spokój burżujów i p. Świtalskiego, więc z tego wnioski proste!...

Walka o wolność prasy trwa. Skupiając się wokół swego pisma, robotnicy i chłopi, tworzą siłę, która stanowi tych pism potęgę niezmożoną.

(Tydzień Robotnika nr 17, r. 1936).

narodu, to do tego stanu rzeczy w bardzo dużej mierze przyczyniła się prasa endecko-sanacyjna, która ogłupia ludzi i wyrządza swoimi bzdurami szkody państwu i społeczeństwu.

Trzeba pamiętać, że ogromny odsetek społeczeństwa polskiego niedawno nauczył się czytać i ci czytelnicy-nowicjusze noszą w sobie płomienną wiarę w świętość każdego drukowanego słowa. I tę oto wiarę w najhaniebniejszy sposób wyzyskują z jednej strony narodowe kołtuny, a z drugiej strony sprytni państwowotwórczy sanatorzy.

Naszym zadaniem, prasy socjalistycznej jest odsłaniać obłudę i faryzeuszowstwo endeków, demaskować spryciarskie podchody sanatorów, a jednych i drugich piętnować jako szkodników państwowych i społecznych.

I to będziemy stale robili.

(Tydzień Robotnika, nr. 17, r. 1936)

Moskiewskie złoto

Prócz takich idiotyzmów jak „agitacja wywrotowa", „bolszewickie żywioły", „komunistyczne elementy" często czyta się o „moskiewskim złocie".

Jeżeli dajmy na to w fabryce zatrzasków do spodni, mieszczącej się w suterynie domu przy ul. Nalewki 87 zastrajkuje cała załoga fabryczna, składająca się z 3-ch chłopców w wieku 16—17 lat, ponieważ majster obniżył im zarobki z 50 groszy na 40 groszy dziennie, to — czytamy w endecko-sanacyjnej prasie — działał tu strumień złota puszczony z Moskwy, którym zaagitowano robotników, bo inaczej nie porzuciliby przecież tak korzystnej pracy.

O złocie moskiewskim, które „szerokim strumieniem" od 19 lat płynie do Polski i do innych krajów, pisze się w jednym artykule, a tuż obok czytamy o nędzy, o głodzie i dezorganizacji w Sowietach. Cóż to za potwory siedzą w Moskwie. Patrzą obojętnie na głód i cierpienia własnego ludu, a obce ludy uszczęśliwiają strumieniami złota! Perfidia bolszewicka czy komunistyczne zboczenie? Nie mogę zrozumieć władz moskiewskich!

Ale nie mogę zrozumieć także rządu polskiego. Stałą troską naszego rządu jest powiększyć wywóz za granicę, a to zarówno w celu podniesienia naszej produkcji, jak i dla uzyskania obcych walut, stanowiących zabezpieczenie złotego. Im więcej wpływa do Polski złota i obcych walut, tym więcej można puścić w obieg złotych, tym więcej można zatrudnić bezrobotnych, tym większe można poczynić inwestycje, tym większe można uruchomić roboty publiczne. I pocóż to suszyć sobie głowę nad wywozem? Czyż nie lepiej nie tamować tego strumienia (szerokiego) złota, który płynie z Moskwy do Polski?

I jeszcze jedno. Gdzie się podziało całe to złoto, które w ciągu 19 lat, bądź co bądź, wpłynęło do Polski?

Lecz dajmy wreszcie pokój żartom. Jeżeli marszałek Piłsudski w mowie wygłoszonej w Kaliszu niekoniecznie pochlebnie wyraził się o mądrości polskiego

Senatorski wyzysk i masło dla psów

Przy budowie szosy z Kazimierza Biskupiego do Konina pracują robotnicy od wschodu do zachodu słońca, zarabiając na akord 60—80 gr. dziennie. Przy takim wynagrodzeniu robotnicy nie mogą się odpowiednio odżywiać, to też nic dziw nego, że wielu z nich opada z siły. Roboty te finansuje właść. dóbr Kaźmierskich p. St. Mańkowski, senator R.P., który rozlicza się w ten sposób z wydziałem powiatowym z tytułu podatków gminnych i drogowych. Kiedy się robotnicy zwrócili do p. Mańkowskiego o podwyżkę, odrzekł im: „Nic nie podwyższę. Jak chcecie to róbcie, jak nie to nie". Strajkowano trzy dni. Interwencja w Starostwie nic nie pomogła, niewolnictwo trwa nadal. A tymczasem pańskie psy żrą chleb z masłem.

(Tydzień Robotnika, Nr. 19 1936 r.)

KAŻDY CZYTELNIK

„POBUDKI"

bierze udział

w ogłoszonej

ANKIECIE

NASZ KONKURS 14)

Poniżej drukujemy 14 z kolei odcinek naszego Konkursu. Przypominamy, że warunkiem wzięcia udziału w losowaniu nagród jest nie tylko trafne rozwiązanie, ale i punktualne nadesłanie rozwiązania do redakcji.

Termin nadsyłania rozwiązań Konkursu nr. 14 upływa z dn. 20 kwietnia br. Rozwiązania z datą stempla pocztowego późniejszą — nie będą brane w rachubę.

W rozwiązaniu podać trzeba — przypominamy jeszcze raz — tytuł książki, z której fragment został zamieszczony, nazwisko autora, oraz własny dokładny adres i nazwisko.

Czas był wiosenny o świtaniu.

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł, jako ten parob, któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do cna zrywać się ano musi nade dniem, by wnetki imać się do pługa i do orki się brać.

Poczynało dnieć.

Ale cichość była całkiem jeszcze drętwa, tyle jeno, co rosy kapały rzęsiście z drzew pośpionych w mącie nieprzejednanym.

Niebo, kiej ta płachta modrawa, przejęta wilgotnością i orosiała, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły niby mleko wzburzone przy udoju zalewały łęgi i pola nizinne. Kokoty zaczęły piać na wyprzódki gdziesik po wsiach jeszcze niewidnych.

Ostatnie gwiazdy gasły kiej oczy śpiączką morzone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie, roztlewające spod ostygłych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone.

Mgły się zakolebały z nagła, wzdęły i ruchający ciężko, niby wody roztopów wiosennych, biły w czarne pola, albo zasię kiedy dymy kadzielne, wionęły sinym przędziwem ku niebu.

Dzień się już stawał i przepierał z blednącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kożuchem.

Niebo się rozlewało zwolna światłościami, zniżając się coraz bardziej nad światem, że już kajś niekaj wydzierały się na jaśnie czuby drzew, uprzedzone mgłami, a gdzie znów, na wyżach jakieś pola szare, przesiąkłe rosą, wyleniały się z nocy, to stawy zamigotały pośleply mi lustrami, albo strumienie, kiej długachne, orosiałe przędze, wlekły się wskroś mgieł rzednących i świtów.

Dzień się już czynił coraz większy, zorze rozsączały się w martwe siności, że na niebie poczynały gorzeć, jakoby krwawe łuny pożarów jeszcze nie dojrzałych, i tak się galanto rozwidniało, iż ano bory wyrastały dookoła czarną obręczą, a wielka droga, obsiadła rzędami topoli pochylonych, utrudzonych jakoby w ciężkim chodzie pod wzgórze, dźwigała się coraz widniej na światłość, zaś wsie, potopione w mrokach przyziemnych, wyzierały gdzie niegdzie pod zorze, kiedy te czarne kamienie spod wody spienionej i poniektóre już drzewa co bliższe srebrzyły się całe w rosach i brzaskach.

Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że lada pacierz wyłupie się z tych zórz rozgorzałych i padnie na świat, któren dolegiwał ostatków, ozwierał ciężko mgławicami zasnute oczy, poruchiwał się ździebko, przecykał zwolna, ale jeszcze się lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku, bo cichość padła barzej w uszach dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytaiła — jeno wiater, jako to dychanie dzieciątka cichuśki, powiał od lasów, aż rosy potrzęsły się z drzew.

Aż z tej omdlałej szarości świtów, z tych sennych jeszcze, omroczałych pól, jakoby w kościele rozmodlonym i oniemiałym, kiedy dobrodziej ma wznieść na Podniesienie Hostię Przenajświętszą — wystrzelił z nagła głos skowronkowy...

Wyrwał się gdziesik z roli, zatrzepotał skrzydłami i jął świergotać, jako taż czystego srebra sygnaturka, jako ten wonny pęd wiośniany tlił się w bladym niebie, bił w górę, głośniał, aż w onej świętej cichości wschodów rozdzwaniał się na świat cały.

Wraz i drugie jęły się zrywać, skrzydełkami bić, w niebo się wrzeć i śpiewać zawzięcie a poranek głosić wszemu stworzeniu czującemu.

A po nich wnet i czajki zakwiliły jękliwe na moczarach.

Boćki też wzięły klekotać rozgłośnie gdziesik po wsiach, jeszcze nie rozpoznanych w szarościach.

* *
*

Słońce zaś było już ino, ino...

Aż i ono pokazało się zza lasów dalekich, wychylało się z przepaści i kieby tę ogromną, złocistą i rozgorzałą ogniami patynę wynosiły Boże, niewidzialne ręce nad sennymi ziemnicami i żegnając światłością świat, żywe i umarłe, rodzące się i struchlałe, rozpoczynało świętą ofiarę dnia, że wszystko jakby z nagła padło w proch przed majestatem i zamilkło przywierając oczy niegodne.

I oto dzień się stał, jako to nieobjęte morze weselnej światłości.

Mgły kiej wonne dymy biły z łąk rozłoconemu niebu, a ptactwo i stworzenie wszelkie uderzyło w wielki krzyk śpiewań, jakoby w ten pacierz serdecznych dziękczynień.

Słońce zaś urastało wciąż, wynosiło się nad bory czarne nad wsie nieprzeliczone, coraz wyżej i wielkie, gorejące, ciepłe, kiej to święte oko miłosierdzia Pańskiego, brało we władną moc panowanie nad światem.

W ten czas właśnie, na wzgórzu piaszczystym pod lasem, spod dworskich stogów łubinowych, stojących wpodle szerokiej i wyboistej drogi, pokazała się stara Agata, powinowata czy krewniaczka Kłebów.



Powracała ona z żebrów, na któren to chleb Jezusowy była poszła jeszcze w kopania, a teraz ci z nawrotem do Lipiec ciągnęła, jako ci ptaszkowie zawżdy wracający o wiośnie do gniazd swoich.

Stare to było, schuchrane, słabe i ledwie dychające, iż się widziała, jako ta wierzba przydrożna, pokrzywiona, spróchniała, co to się już ledwie tli i domiera w piachach, obwieszona różańcami.

Wylazła spod brogów o samym wschodzie i, spiesznie drepcząc podnosiła do słońca twarz szarą i wyschłą, jako te płone ugory zeszłoroczne, jeno jej siwe zaczerwienione oczy rozbłyskiwały radością.

Wielki intrygant Dalekiego Wschodu

Na toczącym się w Tokio procesie japońskich przestępców wojennych, jednym z głównych oskarżonych był najbardziej może tajemniczy człowiek Dalekiego Wschodu gen. Doihara. Człowiek, który przez 30 bezmała lat był sprężyną japońskiej polityki imperialnej na terenie Chin.

Karierę swą rozpoczął Doihara od wywiadu japońskiego, do którego wstąpił w 1923 r. Zdolnościami swymi zwrócił na siebie uwagę swoich przełożonych i oto w w 1928 roku powierzono mu specjalną misję polityczną, której celem było oderwanie Mandżurii od Chin. Pierwszym krokiem Doihary był zamach na ówczesnego samowładcę Mandżurii Czag-Tse-Lina. W czasie jednej z podróży Czang-Tse-Lina z Mukdenu do Pekinu wagon, w którym jechał, wyleciał w powietrze. Sprawcami zamachu byli Doihara i grupa przydzielonych mu oficerów japońskich.

Intrygą i podstępem

W trzy lata później wojska japońskie wkroczyły do Mandżurii. Doihara wypłynął wówczas jako nadburmistrz Mukdenu. Uzyskane w ten sposób panowanie nad krajem przekazał japońskiemu sztabowi generalnemu, na polecenie którego opracował z kolei plan marszu na Pekin. Wobec interwencji mocarstw marsz japoński na Pekin skończył się o 8 km od bram tego miasta, a skompromitowany Doihara musiał na pewien czas zniknąć z horyzontu.

Uwagę swą zwrócił teraz na północne prowincje chińskie, w których widział idealną bazę dla ekspansji japońskiej. Od tego czasu rozpoczynają się podróże Doihary. Jeździ po całych Chinach pod najróżnorodniejszymi nazwiskami i przebraniami. Nie posiada żadnych specjalnych misji politycznych, działa pocichu i w tajemnicy, ale mimo to umie zdobyć sobie zaufanie ludzi, na których mu zależy.

Taktykę swą opiera w pierwszym rzędzie na nienawiści, którą w Chinach Północnych żywiła część ówczesnych gubernatorów do Czang-Kai-Szeka. Dzięki intrygom i machinacjom Doihary gubernatorowie, opowiadający się za Czang-Kai-Szekiem, zostają obaleni, następcy ich oddają się w opiekę Japonii, która w efekcie zyskuje bez walki terytorium o powierzchni 115 tys. km. kw. z 35 mil. mieszkańców.

Potym przechodzi kolei na Mongolię. Recepta jest mniejwięcej taka sama. W 1936 r. To Wang proklamuje samodzielne państwo mongolskie, a Doihare mianuje swym doradcą politycznym. W rok później wojska japońskie zajmują prowincję Ho Pei. Bezsilny Czang-Kai-Szek musi wycofać swe siły do Czung Kingu.

Odtąd droga do Chin stoi dla Japonii otworem. Japończycy odnoszą jedno zwycięstwo za drugim, a pozycje Anglii i Ameryki słabną z każdym dniem i Czang-Kai-Szek ponosi klęskę po klęsce. Powstanie cesarstwa Mandżukuo jest ostatecznym ukoronowaniem wysiłków Doihary.

Centrala szpiegowska

W czasie ostatniej wojny światowej Doihara założył swą kwaterę w stolicy Mandżukuo w Mukdenie. W zamieszkałym przez niego czerwonym domu przy ul. Namwadori krzyżują się teraz wszystkie nici japońskiej tajnej policji i wywiadu. Tutaj Doihara studiuje nadsyłane raporty i stąd rozsyła na wszystkie strony Azji opłacanych na wagę złota szpiegów. Sam kilkakrotnie odwiedza Tokio, gdzie od niemieckiego specjalisty Meissingera uczy się tajników europejskiego szpiegostwa.

Sytuacja wojenna rozwija się jednak coraz bardziej na niekorzyść Japonii i zwycięstwo aliantów nie ulega już wątpliwości. Wysiłki więc swe kieruje Doihara na to, aby w ręce zwycięskiego przeciwnika dostały się tylko pustkowia. Z rozkazu Doihary palone są więc barbarzyńsko miasta i wsie, a ludność jest bezlitośnie mordowana.

I wreszcie kara

Po kapitulacji Japonii wielki intrygant zrzuca mundur generalski i ucieka do Tokio, gdzie ginie w milionowej masie szarych ludzi. Mimo to zostaje jednakże po pewnym czasie rozpoznany przez człowieka, któremu przed laty porwał córkę.

Ujęcie Doihary nie poszło łatwo. Kiedy amerykańska policja zjawia się w jego domu, Doihara wyskakuje przez okno i ucieka, ostrzeliwując się na wszystkie strony. W czasie ucieczki zostaje jednak ranny i ostatecznie po paru tygodniach policja odnajduje go w jednym ze szpitali. Tym razem Doihara już nie ucieka. Po wyleczeniu przewożą go ze szpitala do więzienia, skąd trafia na ławę oskarżonych.

A. F.

Zamiast „kwiatków i kwiatuszków"

Samobiczowanie i skandal!

Przyganiał kocioł garnkowi — a sam smoli.

Kto pod kim dołki kopie — sam w nie wpada.

*

Czy wiecie, drodzy towarzysze, do kogo odnoszą się te dwa zacytowane przysłowia?...

Odnoszą się one ni mniej ni więcej tylko do... mnie, jako odpowiedzialnego kierownika działu „kwiatuszków"... Tak!

Przyganiam innym — a sam nie jestem lepszy! Kopę dołki pod innymi czasopismami — a sam też już dwa razy w nie wdepnąłem!

I dlatego dziś, miast znów podać Wam wiązankę „kwiatuszków", pobawię się w „samobiczowanie".

Widzicie, to jest tak:

Te gaffy, które wyławia się z prasy codziennej czy periodyków, mają swe różne przyczyny. Czasem redaktor rzeczywiście się zbłaźni i palnie jakieś głupstwo, które człowiekowi aż dech zapiera, ale w większości wypadków — powodem „chochlika drukarskiego", jak to się dawniej zwykło mówić, jest bielmo na oczach korektora czy korektorki.

I jako, że ja korektą też się już nieraz parałem, wiem, iż są takie dni, w których — trudno!... Ten zły duch, czort, diabeł, czy jakieś inne licho — uprze się i wtedy nawet święcona woda nie pomoże. Jakiś „kwiatek" w numerze musi zostać!

*

Nasz tygodnik jakoś dość rzadko nawiedzany jest przez te złe duchy. Może dlatego, że my tu wszyscy w fartuszkach i z kielniami chodzimy. Ale czasem... Czasem to do nas też zabłądzi, a że w ostatnich tygodniach poprzestawiane zostały przez tego diablika czcionki na mojej kolumnie, muszę go zdemaskować.

W ostanim numerze w „kwiatuszku" zatytułowanym „Operetka a historia" w omówieniu cytowanego fragmentu artykułu „Głosu Robotniczego" — znalazło się takie zdanie:

> „Ponieważ domyśleć się można, iż mowa tu o Napoleonie II i III, musimy sprostować, że Napoleon III był bratankiem, a nie wnukiem Napoleona I".

I jak to się stało, iż wskrzeszono tu Napoleona II — to nawet nasza korektorka nie potrafi wytłumaczyć. Bo w rękopisie, a właściwie w maszynopisie — napisano: „Ponieważ domyśleć się można, iż mowa tu o Napoleonie I i III..." itd. I kto winien?... Korektorka?... Gdzież tam!... Kiedy to jakaś kobieta była winna?... Winien jest ten zły duch!

To było w ostatnim numerze. (W trzynastym, psiakrew!).

Przed trzema tygodniami — było podobnież. W „kwiatuszku" zatytułowanym „Poprawka historyczna" w cytacie z „r. 1499" zrobił „diablik" „1499 r." i w rezultacie cały sens omówienia został pokiełbaszony w tak niemożliwy sposób, iż nawet jedna z naszych miłych czytelniczek przysłała nam list pokpiwający sobie z nas w bardzo delikatny sposób. (Tow. Wando!... Miałyście słuszność!... Ale nawet i Wy temu czortowi nie dacie rady, chociaż jesteście ze Stalowej Woli rodem. On jest silniejszy!)

I dlatego też postanowiliśmy na ostatnim posiedzeniu komitetu redakcyjnego — zakupić litr święconej wody by straszyć nią „diablika" i litr zimnej wody dla korektorki, by polewała nią głowę w momentach, kiedy będzie próbowała zasnąć.

*

A teraz jeden jedyny „kwiatek", który podaję z czystym sumieniem, gdyż nie jest on wynikiem nieuwagi korektora innego pisma, a w numerze świątecznym ten odcinek ja sam postaram się przejrzeć.

Przysłano mi dziś dwa rachunki za elektryczność. Na takich niebieskich blankietach, gdzie z lewej strony u góry jest nadruk: Łódzkie Towarzystwo Elektryczne itd. itd., a przez całą jego długość (blankiet ma wymiary 13 x 31 cm.) biegną różnego rodzaju rubryki i rubryczki.

Blankiet wygląda okazale, poważnie, urzędowo i oficjalnie.

Rubryka pierwsza ma nadruk: data przeczytu.

Trochę oszołomił mnie ten termin. No bo jak: przeczytu?... Nie wiedziałem początkowo co to znaczy i dopiero żona mi wytłumaczyła, iż ostatnio modne jest tworzenie właśnie podobnych dziwolągów językowych i „przeczyt" stanowi rzeczownik od czasownika „czytać".

Uwierzyłem jej. Machnąłem nawet desperacko ręką i powiedziałem: pies z nimi tańcował!...

No i w tej rubryce była data tego „przeczytu".

Na pierwszym blankiecie: 30 JANUAR

Na drugim: 24 FEBRUAR.

I czy to nie skandal?! Czy to nie skandal?!!!

Czy można takie historie spokojnie przyjmować i nie bić pięścią w stół?! Czy w dwa lata po wyzwoleniu, dopuszczalnym jest jeszcze używane niemieckich datowników przez tak poważną instytucję jaką jest łódzka elektrownia?...

Czy tam komuś nie powinno się przyzwoicie natrzeć uszu i dobitnie wytłumaczyć, że dopuszcza się kompromitującego niedbalstwa?

Wstyd!!!

marek.

Piórem i piórkiem



„Monopol" z pijaków
Zadrwił sobie zdrowo:
Mogą się upijać
Tylko na „perłowo"!



Znów wybiłeś szybę!
Czekaj, będą baty!...
„Ja się właśnie idę
Ujawnić do taty!"



Zapytał przechodnia
Pan Ignac z ostrożna
Gdzieby tu najłatwiej
Wody dostać można?!

Zamiast felietonu

CACY, CACY — BIUROKRACY!...

Osobiste przeżycia tak mnie ostatnio nastroiły, że w żaden sposób nie mogłem zabrać się do pisania felietonu.

A nikt tego nie potrafił zrozumieć... Sekretarz redakcji cały dzień tańczył dookoła mnie, zaklinał, groził, obiecywał nawet, że postawi dwie głębsze jeśli na rano napiszę swój odcinek — a ja nic!... Żadnego pomysłu!... Przyrzekłem mu jednak, że mimo wszystko — napiszę. Przyrzekłem i wyszedłem z redakcji wcześniej niż normalnie.

Idę Piotrkowską i myślę. Myślę — i nie mogę nic wymyślić. Nagle spostrzegam jednego z mych serdecznych przyjaciół. Blady jakiś, mizerny, pochylony, z obłędem w oczach, a w ręku — sznur...

— Dokąd idziesz?... — pytam.

Ponurym głosem odszepnął: — powiesić się!...

Zdębiałem. Chłop przecież młody, żony jeszcze nie ma, wódę chlać lubi i — powiesić się chce?... Wziąłem go więc delikatnie za rączkę, zaprowadziłem do knajpy i zacząłem wypytywać o powód tak desperackiego kroku.

No i opowiedział mi. Powtórzę to samo w odpowiednim skrócie:

Mój przyjaciel zajmuje dość poważne stanowisko w jednej z łódzkich fabryk. I w połowie roku pańskiego 1946 spadł nań obowiązek przygotowania planów inwestycji, potrzebnych do zaprowadzenia w fabryce w okresie najbliższych 3 lat. Mój przyjaciel to zrobił.

Między inymi — w planach tych była jakaś inwestycja, mówiąca bodajże o umywalni dla robotników i bodajże o przyzwoitej ubikacji.

Sporządzony projekt inwestycji przesłany został do **Wydziału Budowlanego** jednego ze Zjednoczeń. Zjednoczenie zdecydowało, iż ta ubikacja, jakoż umywalnia — wybudowane zostaną jeszcze w r. 1946. Zdecydowawszy to — Zjednoczenie sporządziło kosztorysy tej imprezy (za które ktoś wziął grubą forsę) i kosztorysy te przesłane zostały do dyrekcji Przemysłu Branżowego. Dyrekcja kosztorysy również zatwierdziła i przesłała dalej — do Wydziału Inwestycji i Budownictwa Centralnego Zjednoczenia Pewnego Przemysłu.

I wyobraźcie sobie, że Wydział Inwestycji takoż kosztorysy zatwierdził i polecił dyrekcji tej biednej fabryki otworzyć sobie konto w Banku na odpowiednią sumę złotych polskich.

Aby otworzyć w Banku konto — trzeba było przedstawić zatwierdzone kosztorysy. Kosztorysów **nie można było znaleźć**. Ani w Zjednoczeniu, ani w Dyrekcji, ani w Centralnym Zjednoczeniu. W końcu jednak, po kilku tygodniach — odnaleziono je i otworzono sobie upragniony kredyt.

Do prac jednak nie można było przystąpić. Trzeba było **ogłosić przetarg**. W porozumieniu z Wydziałem Budowlanym Zjednoczenia — przetarg ogłoszono, by w przeddzień otwarcia kopert złożonych przez oferentów dowiedzieć się z ust przedstawiciela Głównego Inspektoratu Centralnego Zjednoczenia Pewnego Przemysłu, iż fabryka nie ma zezwolenia ani na ogłaszanie **przetargu, ani na przeprowadzanie robót, ani nie ma nawet zatwierdzonych kosztorysów**.

W ciągu tygodnia — dzięki osobistemu poświęceniu się kilku osób wątpliwości Głównego Inspektoratu zostały wyjaśnione i **po tygodniu przystąpiono do otwarcia kopert**. Ponieważ przedstawiciel Głównego Inspektoratu **nie raczył się zjawić**, by przy tym akcie asystować — zgłoszone oferty trzeba było **przesłać do** Inspektoratu.

Po kilku tygodniach **Inspektorat przesłał** oferty do Wydziału Inwestycji i **Wydział Inwestycji zatwierdził** jedną z nich.

Teraz z oferentem **trzeba było zawrzeć umowę**. Umowę **zawiera** Wydział Prawny Dyrekcji. Po **konferencjach** z mecenasem Wydziału **Prawnego** przystąpiono do **podpisywania** umowy, lecz wtedy okazało się, iż umowa **nie odpowiada** wymogom, gdyż nie obejmuje wszystkich koniecznych do przeprowadzenia prac. Dyrekcja fabryki — zobowiązała się wobec tego sporządzić sama tekst umowy i **przesłać** ją do Wydziału Prawnego, by tam ją **podcyfrowano**.

W międzyczasie o całej tej historii dowiaduje się jeden z dyrektorów Dyrekcji **Branżowej, który uważa, że umowy jednak nie wolno podpisywać i tekst jej przesyła do Głównego Inspektoratu Centralnego Zjednoczenia**. Główny Inspektorat, **nie wiedząc co ma z tym fantem robić — przesyła go** do Wydziału Inwestycji i Budownictwa.

A dyrekcja fabryki w dalszym ciągu **nie może przystąpić do prac**, mimo, iż rok 1946 się skończył już dawno i prace według planu winny być już wykonane. I znów trzeba poświęcać się by wydębić kosztorysy i umowę i w końcu — wydębiono je. Ale mimo wszystkich stempelków i decyzji — zezwolono na rozpoczęcie robót pod warunkiem — iż za przeprowadzenie inwestycji odpowiedzialnym będzie jeden z pracowników fabryki.

W tej chwili — jest nadzieja, iż prace zostaną rozpoczęte. Zostaną rozpoczęte, mimo iż kosztorys jest niekompletny, gdyż sporządzany był bez planów(!) zabudowań fabrycznych!!! Zostaną rozpoczęte, chociaż jeśli wykona się je w ramach kosztorysów — to robotnicy nie będą mieli ani łazienki ani ubikacji.

To wszystko mój przyjaciel ze łzami w oczach opowiadał mi przez dwie godziny. I na koniec oświadczył mi, iż nie ma siły, by dalej walczyć, korygować i biegać od Zjednoczenia do Dyrekcji, od Dyrekcji do Centralnego Zjednoczenia, i od Centralnego Zjednoczenia do Głównego Inspektoratu i z powrotem. Dlatego chce się powiesić.

Postanowiłem mu towarzyszyć.

marek.

P. S. Tym razem w tym felietonie nic nie zmyśliłem. Tym razem nawet pewne sprawy ukryłem i zatuszowałem. Naprawdę!



Koło PPS Powsz. Spółdz. Spoż.

Wysłuchaliśmy z zainteresowaniem waszych uwag dotyczących redagowania „Pobudki". Bądźcie łaskawi przesłać w tej sprawie list w ramach ogłoszonej przez nas ankiety pt. „Jaką chciałbym mieć „Pobudkę" podkreślając swoje specjalne życzenia, odnośnie treści czy poziomu pisma. Nie wykluczone jest, że od czasu do czasu będziemy zamieszczać rady praktyczne, jak również wiadomości z działu „Wiedza i życie".

Towarzysz S. G. — Piotrków: Projekt Wasz rozpatrzyliśmy. Jednakże ze względu na szczupłe i tak ramy naszego tygodnika — nie byłoby naszym zdaniem dobrze marnować tyle miejsca na ogłaszanie wykazów nadsyłanych rozwiązań.

***

Zawiadamiamy uczestników Konkursu Nr 11 że tym razem nagrody za trafne i punktualnie nadesłane odpowiedzi drogą losowania przyznano tow. tow.:

LESZKOWI MALAŃSKIEMU, Łódź-Teatr Powsz. TUR ul. 11 Listopada 21.

BRONISŁAWOWI JABŁOŃSKIEMU, Łódź, Ogrodowa 28a m. 37.

BARBARZE OSZCZEPALIŃSKIEJ, Warszawa-Praga, ul. Siarczana 6a, m. 2.

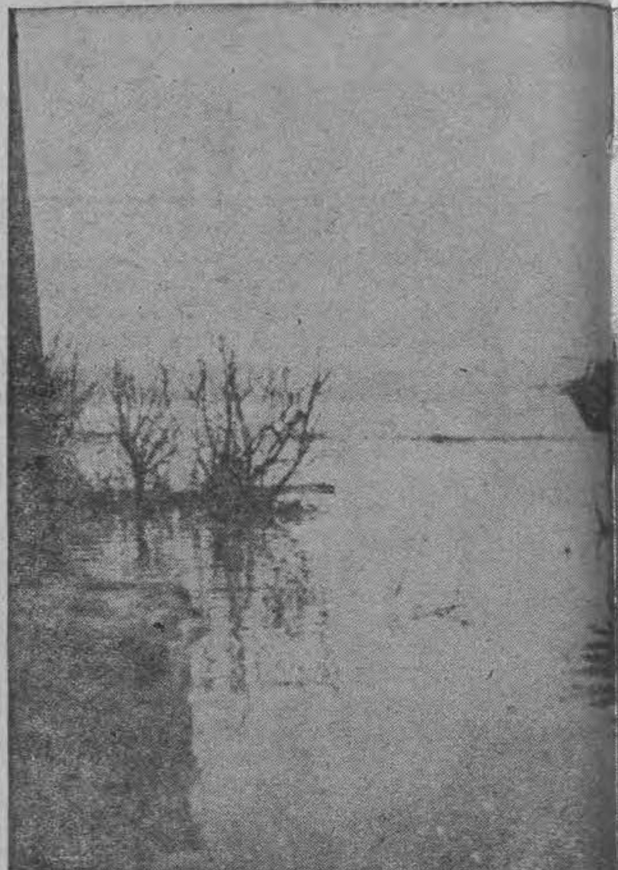
Towarzyszy zamieszkałych w Łodzi prosimy o osobiste zgłoszenie się po odbiór przyznanych nagród. Tow. Oszczepalińskiej nagrodę wyślemy pocztą.

Poprawne rozwiązanie: St. Żeromski — „Ludzie bezdomni".

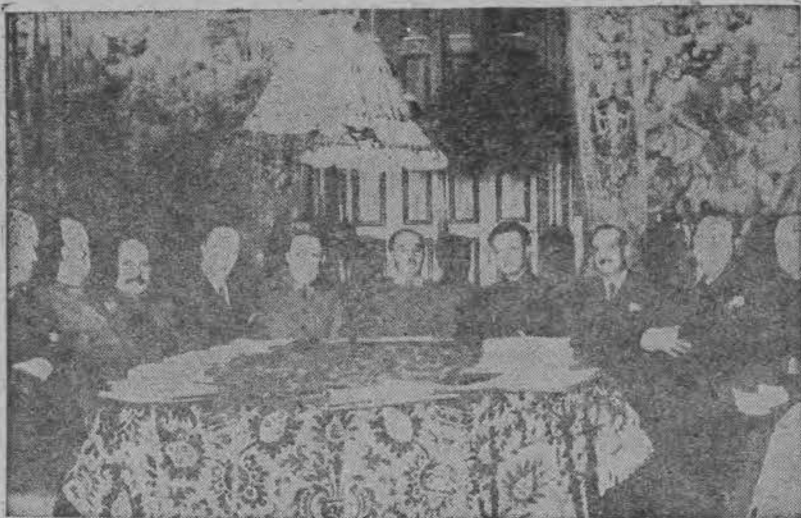
W świecie



W jednej ze stoczni holenderskich spuszczono na wodę statek floty... szwajcarskiej. To nie dowcip primaaprilisowy. Wprawdzie Szwajcaria nie posiada dostępu do morza — utrzymuje jednak sporą flotę handlową na Renie.



Oto skutki powodzi! Zdjęcie nasze przedst... Mickiewicza na ujście Bugu do Wisły"...

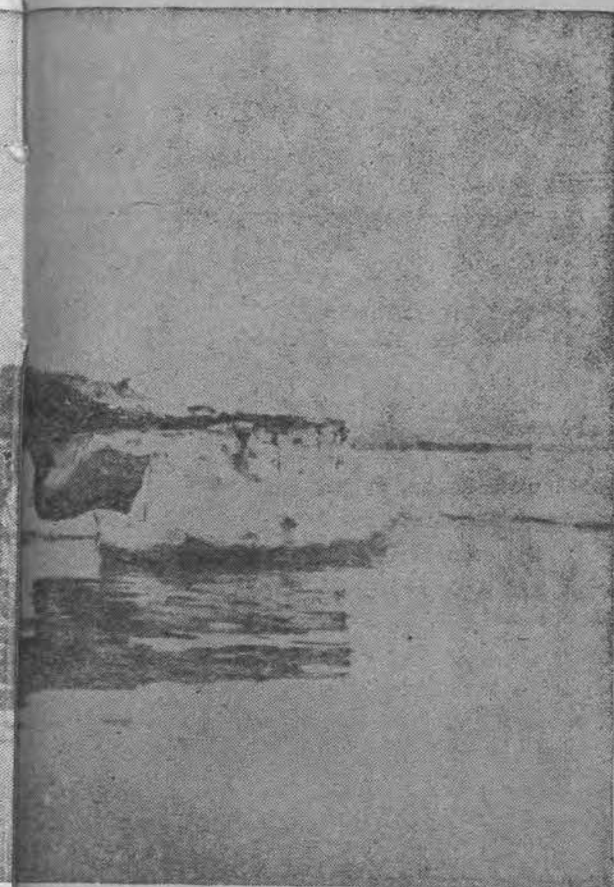


8 lat temu, 4 kwietnia 1939 r. międzynarodowy faszyzm odniósł krwawe zwycięstwo nad legalnym rządem republikańskiej Hiszpanii. Na zdjęciu pierwszy rząd faszystowski gen. Franco, utworzony w Burgos.
Jak długo jeszcze świat znosić będzie rządy tych osobistości?



A tutaj szaleje żywioł ognia. Pasażerowie z „Que... na statku „John Eriesson", zwalczanym przez... pacze chmur ...

i w Polsce



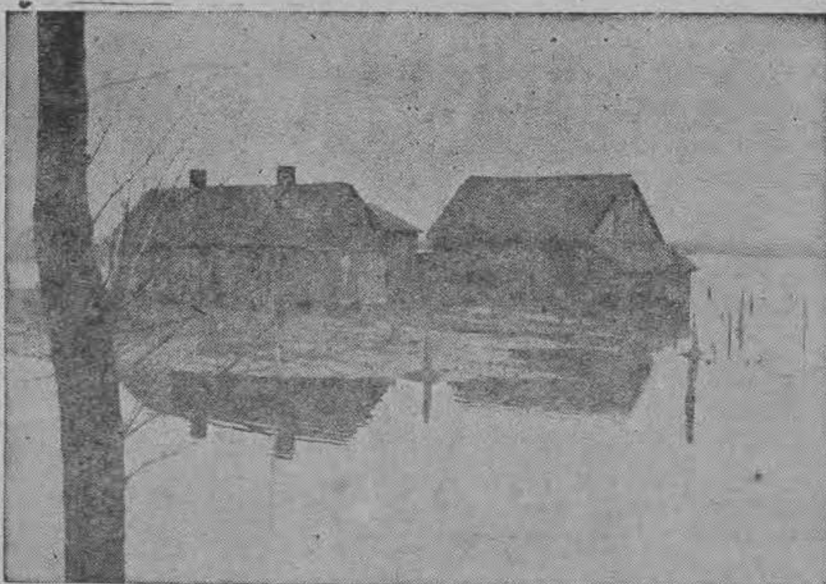
...., miasto Nowy Dwór, widok z „ulicy
...iach katastrofalnego przyboru wód.



Polska jakiej nie znamy. — ..atusz w polskim Opolu;
stan obecny.



... Elisabeth" przyglądają się płomieniom
...tatki, pożarnicze. W głębi widoczne dra-
...nhattam.



Powódź w Polsce stała się klęską żywiołową. Setki kilometrów kwadr. pól uprawnych i łąk znajdują się pod wodą. Na zdjęciu — zalana przez Wartę, odcięta od świata, zagroda we wsi Woźniki w woj. łódzkim

„W mrokach klasztoru" jest opowieścią byłej zakonnicy — karmelitki. Nie jest ona wytworem fantazji.

Maluje prawdziwe przeżycia dziewczyny, która spędziła rok



w klasztorze karmelitek we Francji.

Opowieść jej obiegła całą Francję i nie znalazł się nikt, ktoby zarzucił autorce tych słów kłamstwo lub nieścisłość.

(ciąg dalszy)

Ale przełożona nie chciała dać za wygraną. W dalszym ciągu przemawiała do konającej, usiłując ją wyrwać z odrętwienia.

— Janko, dziecko drogie, słyszysz mnie?

Wreszcie, zrozumiawszy, iż jest to trud daremny, a czas nagli, wzięła się sama do odegrania komedii. Sama zadawała pytania i odpowiadała sobie na nie:

— Janko, moje dziecko, córko moja kochana, za kilka chwil staniesz przed bogiem, sędzią twoim najwyższym. Jesteś gotowa — wiemy — spowiadałaś się wczoraj, dziś rano jeszcze przyjęłaś komunię. Masz więc wszystkie warunki, aby umrzeć świętą śmiercią. Jednak może chcesz jeszcze raz otrzymać rozgrzeszenie i namaszczenie olejami św.?

Ten monolog, a właściwie udawany dialog na temat śmierci, reguły, modlitw — trwał długo. Przerwało go ciche wymamrotanie kilkunastu zdań łacińskich.

Potem ciągnęła dalej z taką swobodą jakby chodziło o szczegół bez żadnego znaczenia.

— Ach, prawda... Twoja rodzina... Zawiadomiliśmy twoją matkę i siostrę. Są tutaj w kaplicy i modlą się za ciebie. Nie chcesz się z nimi widzieć? Nie, oczywiście... Inaczej zaniosłybyśmy cię do rozmównicy. Nie?... Jak cię dobrze rozumiemy. Masz całą wieczność przed sobą, by wstawiennictwem u tronu boskiego spłacić dług, jaki zaciągnęłaś wobec ziemskiej rodziny. Tymczasem pragniesz tylko pozostać wśród nas, prawda? ....

Wytrzymałość moich nerwów dobiegała końca. Drżałam cała z niecierpliwości. Chciało mi się krzyczeć „Dosyć! Dosyć!"

Ale przełożona zamilkła wreszcie i uklękła w pierwszym szeregu zakonnic. Przełożona nowicjuszek rozpoczęła modlitwę za konających.

Trwało to długo... bardzo długo... Wreszcie około godziny trzeciej popołudniu wielebna matka Cecylia od Dzieciątka Jezus zatrzymała nas władczym gestem ręki.

Wstała, podeszła do tapczanu, pochyliła się nad nim, poczem zwracając się do nas rozkazała:

— Jedna nowicjuszka! Proszę zamknąć jej powieki!...

Wystąpiłam z gromady i oddałam małej nieznanej nowicjuszce tę pobożną przysługę. Potem sama nie wiedząc dobrze co czynię, pocałowałam jej zimne czoło...

Obłóczyny

Aż do dnia moich obłóczyn, życie w klasztorze płynęło bez żadnych szczególnych wydarzeń, poza śmiercią drugiej nowicjuszki, której towarzyszyły zupełnie podobne ceremonie.

W grudniu zaproponowano mi widzenie z rodzicami. Znalazłam w sobie dość okrucieństwa, by odrzucić nasuwającą się okazję ujrzenia ich i złagodzenia ich bólu. Uczyniłam to nie dla przypodobania się moim przełożonym, które życzyły sobie, nie skrywając tego bynajmniej, tej odmowy — lecz jedynie dlatego, że nie chciałem, by mi mówiono o Bernardzie...

...Będą mi mówić o Bernardzie, który właśnie niedawno musiał się ożenić, o jego ślubie, na którym przecie musieli być obecni. Być może zostanę uszczęśliwiona szczegółowym opisem ceremonii i toalety panny młodej.

Ach, nie, nie! Dziękuję. Mogłam biczować się do krwi, pozbawiać się światła, powietrza, porządnego ubrania, przyzwoitego pokarmu, wszystkiego... Ale ryzykować upokorzenie, łzy, atak nerwowy, nieprzytomne wyznania wypowiedziane w chwili rozstroju... Nie... Nigdy... Później, gdy będę silniejsza, gdy będę bardziej panią siebie, bardziej przyzwyczajona do mego nieszczęścia... Później być może...

***

W styczniu, po 18 miesiącach mego pobytu w klasztorze, zostałam pewnego dnia zawiadomiona przez przełożoną nowicjuszek, że moje obłóczyny zostały wyznaczone na 2 lutego i że tego samego dnia mam rozpocząć siedmiodniowe odosobnienie dla przygotowania się w zupełnym spokoju do przywdziania świętych szat Karmelu.

To odosobnienie jest całkowitą izolacją kandydatki. Pomyśleć można, iż każda karmelitka jest już dostatecznie izolowana. Że ta izolacja jest chlebem powszednim i nie można jej bardziej zaostrzyć. Jest inaczej. Podczas owego okresu, okresu siedmiodniowego, nowicjuszka nie bierze udziału ani w nabożeństwie nocnym, ani w mszy, — nawet w niedzielę — ani w rekreacji, ani w żadnych zajęciach ogółu. Ani razu nie wychodzi z celi, której drzwi przybija się kilkoma wielkimi gwoździami do futryny. „Okienko" do podawania jedzenia jest również zamknięte i przybite gwoździami.

Przed rozpoczęciem okresu tej izolacji kandydatka dostaje dwa bochenki chleba czarnego, dzbanek wody, rodzaj ciasta z jarzyn, które można jeść na zimno i dwie zapasowe lampki, świeżo napełnione oliwą. To musi jej wystarczyć na siedem dni.

Moja izolacja skończyła się pierwszego lutego. Gdy otwarto drzwi mej celi po wyjęciu gwoździ, weszła do niej siostra Elżbieta w towarzystwie siostry regulantki i dwu nowicjuszek; te dwie ostatnie wezwane były w charakterze

świadków. Niczego bowiem nie można zdać na los szczęścia. Wyobraźcie sobie że znaleziono mnie martwą, że w jakikolwiekbądź sposób odebrałam sobie życie...

Kilka osób stwierdziłoby to oficjalnie i wszelkie kłopoty mogące spaść na klasztor — na wypadek nieprawdopodobnego, ale przecież możliwego dochodzenia sądowego mej rodziny — byłyby usunięte.

Nagość wspaniała

W regule zakonu w rozdziale „Oblóczyny" znalazłam taki ustęp:

Nasze dziewczęta uczynią wszystko aby powiększyć przepych i uroczystość ceremoniału. — Nie na cześć nowej zakonnicy, lecz ku czci boga, któremu się ona poświęca. Zostanie zaproszona liczna publiczność. Dziewczęta nasze nie będą śpiewać, lecz osoby z poza klasztoru mogą śpiewać w publicznej części kaplicy, która na tą uroczystość zostanie wspaniale przystrojona kwiatami. Oblubienica Pana będzie przystrojona starannie i jaknajwspanialej. Ma ją w tym dniu otoczyć cały przepych, cały blichr, którego się wyrzeka, w tym celu jedynie, by wykazać wartość jej poświęcenia i uczynić je bardziej widocznem".

Ubrana strojnie i jaknajwspanialej... Oblubienica Pana...

„Cała z białego aksamitu, z inkrustacjami ze srebrnego jedwabiu...: Welon z tiulu i koronek... Fryzjer..: Manikurzystka..: Róże i konwalie...

Moja pamięć tylko tyle zachowała z listu moich rodziców.

Nigdy nie będziemy gotowi — rozpaczała moja matka, podczas gdy krawcowa ze swą podręczną szyły na mnie ową suknię z białego aksamitu.

Matka przełożona mówiła mi poprzedniego dnia o szatach ze srebrnego jedwabiu. Była źle poinformowana. W rzeczywistości nie chodziło o srebrny jedwab. Była to prześliczna srebrna lama, która opadała z ramion jak płaszcz królewski i kończyła się trenem czterometrowej długości.

Pajęczy welon był prawie niewidzialny. Zarzucono go na moją głowę, nie przyczepiając w żadnym punkcie. Jak to obiecała przełożona — fryzjerka wczesnym rankiem przybyła do mnie, by uczynić z ohydnej grzywy, która wyrosła mi przez długie miesiące pobytu w klasztorze, elegancką fryzurę, a jednocześnie nadać przyzwoity wygląd moim wychudzonym, zaniedbanym rękom.

Pantofle na wysokich obcasach były ze srebrnej lamy, podobnie jak i tren. Ale oprócz pończoch z białego jedwabiu nie miałam na sobie nic; żadnej bielizny. Pod tą szatą, która nadawała mej postaci wygląd hieratyczny, dostojny, trochę — jak na mój gust — za bardzo teatralny, byłam zupełnie nago.

Tego żąda reguła sióstr świętej Teresy, w której tyle wstydliwości łączyło się z tak podniecającym mistycyzmem cielesnym.

Naga oblubienica... Naga ofiara na stos...

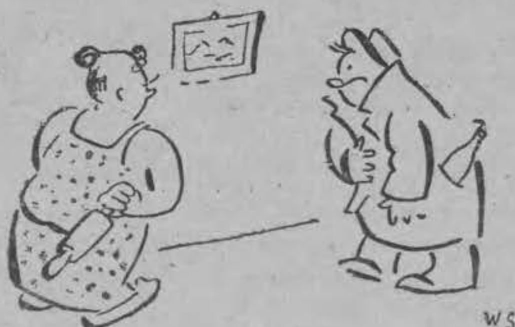
Gdy już się zamknie krata klasztorna, gdy opadnie ta biała suknia, pozostać ma tylko naga, drżąca dziewica, w obliczu dręczącej tajemnicy..

(d. c. n.)

Wielkanoc naszego rysownika



Na nic wykręty tutaj —
nic ci nie wierzę —
Musiałaś zdradzić mnie
z kogutem,
co ma pstrokate pierze.



Wybacz duszko! odłóż wałek...
Dzisiaj (w)lany poniedziałek.



— Mówią że ceny poszły
do góry —
Ależ też jakie jaja!
jakie kury!
— Za taką kurę — za takie jajo,
z pewnością kumie
premie dostają.

(KA-WA)

„Raz w roku—koło Wielkiej Nocy"

Bijemy się w piersi:

Nostra culpa, maxima culpa

O tym, że kobieta-Polka na przestrzeni całej naszej historii dawała niezliczone dowody poświęcenia, samozaparcia i męstwa — wiemy dobrze.

Ostatnia okupacja i epizody wojenne nasz głęboki szcunek dla kobiety polskiej powiny były spotęgować jeszcze i ugruntować

Była pełną poświęcenia bohaterską łączniczką i sanitariuszką. Ale była też podporą domu i rodziny. Jest nią i teraz.

Myśleliśmy zawsze o naszych poważnych, przytłaczających nieraz kłopotach. Rozgryzaliśmy je i przeżuwali — ale nie przyszło nam do głowy, że jeśli całe nasze życie jakoś „klapowało", jeśli dom dawał nam jakieś przytulne ciepło i odpoczynek — to niewątpliwie nie naszą to było zasługą — ale właśnie ich: kobiet — matek i żon. To, że nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy — nie było może naszą winą, czy objawem złej woli. Poprostu p r z y w y k l i ś m y do tego, że ktoś na nas w domu czeka, że ktoś nas wysłucha, pomoże nam, poradzi.

Dziś jesteśmy u siebie „panami" i pracujemy dla siebie. Tragiczną pozostałością wojny są jednak poważne kłopoty gospodarcze.

Jeśli idzie o nas — pracujemy poza domem. Najczęściej pracujemy bardzo ciężko. Większość męskich dylematów i zmartwień stanowią sprawy zawodowe, społeczne, polityczne.

Przynosimy do domu zarobione pieniądze... I koniec.

Ani codzienne kłopoty domowe, ani to, w jaki sposób pieniądze zarobione mają pokryć budżet domowy nie interesują nas.

Jednak mimo wszystko kołnierzyk musi być czysty, podłoga wypastowana, obiad względnie smaczny, a nasza „towarzyszka życia" czarująco uśmiechnięta, wesoła, powabna i „w ogóle". W jaki sposób? Obojętne. Podejście zupełnie błędne. Tym bardziej przykre, jeśli (a zdarza się to niestety często) gospodyni musi codziennie prosić o n o n s z a l a n c k o „wydzielane" pieniądze, gdyż nie otrzymuje stałej miesięcznej sumy, którą mogłaby dysponować.

Myślę, że nasz stosunek do kobiet powinien ulec pewnej modyfikacji.

Na pokolenie starsze trzeba machnąć ręką. Nie zmieni postępowania chociażby ze względu na fałszywie pojęty honor i obawę przed obniżeniem autorytetu „pana i władcy". Przeprowadzenie tej „domowej rewolucji" pozostaje młodszym.

Więc o co właściwie idzie.

Idzie mi o to, że myszką trącący patriarchat jest przeżytkiem. Musimy sobie zdać sprawę z tego, że prócz zawodu technika, kolejarza, urzędnika i nauczyciela — istnieje równie ważny zawód gospodyni domowej. Zawód nie tylko cięższy od wszystkich innych, gdyż najczęściej nie dobrowolnie „obrany", nietylko najbardziej nudny i niewdzięczny, ale dający również najmniej zadowolenia. Nauczyciel, robotnik, dziennikarz pracują poza domem i powrót do domu jest równoznaczny dla nich ze zmianą atmosfery. Nasze żony i matki „zmiany wrażeń" nie mają. Nie mają również ustalonych godzin „roboczych" i przywilejów ludzi pracy ani satysfakcji, że praca ich jest materialnie wynagradzana. Musi im wystarczyć poczucie dobrze spełnionego obowiązku — gdyż uśmiech wdzięczności nie jest częstym zjawiskiem.

Musimy sobie wybić z głowy, że „utrzymujemy" nasze żony, że zarabianie upoważnia nas do zadzierania nosa.

Po pierwsze dlatego, że gdyby pieniędzmi tymi nie gospodarowały „One", a my — „szkoda mrugać" coby z tego wynikło.

Po drugie dlatego, że nasze pensje i tak nie wystarczają. Zagadka jak „One" sobie radzą — pozostanie dla nas na wieki nierozwiązalną tajemnicą.

W tym konkretnym wypadku jesteśmy szczęśliwi, że „coś o nas bez nas". Tak wygodniej, nieprawdaż?

Konkluzja? Nasze towarzyszki pracują tak samo jak my. Zakres ich pracy jest nawet szerszy. Obowiązki olbrzymie, przyjemności minimalne. Dziury, kuchnia, pieluchy. Walka o ład, dostatek, ciepło domowe.

Ekwiwalent? Problematyczna pociecha z „wewnętrznego zadowolenia".

Wiele z nich chciałoby czegoś innego.

Piękne plany kończą się zwykle podwójnym ciężarem: praca zawodowa — i praca „niezawodowa" w domu.

W stosunku do lat przedwojennych jedynie z punktu widzenia prawnego osiągnęło się pewien postęp. Prawo uniezależniło kobietę (chociaż byłyby jeszcze pewne zmiany do przeprowadzenia), odebrało najrozmaitsze, z gruntu niesłuszne przywileje mężczyźnie, najczęściej jednak te zdobycze pozostają jeszcze w teorii.

Obiektywnie — nic nie stoi na przeszkodzie, by kobieta brała czynny udział w życiu publicznym: społecznym i politycznym. Nie ma obiektywnych, prawnych przeszkód, by zajmowała wszelkie możliwe stanowiska, żyła pewnym życiem.

Jestem najgłębiej przekonany, że gdyby nie istniały te właśnie domowe, subbiektywne przyczyny — wiele w naszym życiu zmieniłoby się na lepsze.

Kobieta ma dużo wrodzonego sprytu, bynajmniej zmysłem organizacyjnym i inteligencją nie ustępuje nam — a bezwzględnie przewyższa poziomem etycznym i taktem.

Gdyby nasze panie wyrwać z kuchni i przenieść na odpowiedzialne stanowiska, powierzyć inspekcję fabryk i urzędów, dać im w ręce rozdział aprowizacji, słowem — gdyby więcej ich było na kierowniczych i odpowiedzialnych stanowiskach — mniej byłoby korupcji i kradzieży grosza publicznego.

Gdyby więcej ich było w instytucjach ustawodawczych — i wykonawczych, — przypuszczalnie świat byłby trochę lepszy.

Tak, trzebaby jednak „nowy i wspaniały świat" w ten sposób budować, by udział kobiet w życiu społecznym i politycznym był mimo wszelkie „obiektywne" i „subiektywne" trudności — bardziej intensywny.

Wyszłoby to z pewnością wszystkim raczej na dobre.

K. Piechowicz

P. S. I — Naprawdę pantoflarzem nie jestem.

P. S. II — Naprawdę w domu nic nie „zrobiłem".

P. S. III — Naprawdę TAK myślę (tylko nie zawsze TAK postępuję).

K. P.

Kto pierwszy zatknie sztandar na tajemniczych przestrzeniach Antarktydy?

Walka o Biegun Południowy

W ostatnich miesiącach przedmiotem zainteresowania niemal wszystkich państw stał się Biegun Południowy.

Wśród olbrzymich obszarów pokrytych wiecznymi lodami, odkryto kraj nieznany dotąd nikomu, pozbawiony pokrywy lodowej, a zawierający olbrzymie skarby mineralne, przede wszystkim tak cenne dzisiaj rudy uranu, oraz węgiel. Nowoodkryty kraj leży w odległości około 250 km od bieguna magnetycznego między terenami, o które walczyli w 1911. Amundsen, a okolicami Bariery Rossa, zajętymi przez Japończyka Shirasa w 1912 r.

Odkrycie nowej krainy wywołało w niektórych krajach nadzwyczajne zainteresowanie, które nazwano „gorączką uranową". Gorączka uranowa spowodowała odbywający się obecnie najazd najrozmaitszych ekspedycji i wypraw naukowych na Antarktydę.

W związku z tym Amerykanie, a zwłaszcza Amerykańskie Towarzystwo „National Geographic Society" w New-Jork, obawiając się konkurencji innych państw, wydało komunikat, w którym zaznaczono, że jedynie 7 mocarstw europejskich i amerykańskich ma uzasadnione pretensje do opanowania ziem Antarktycznych.

W zasadzie do Antarktydy pretensje rości sobie bardzo wiele narodów. Chęć opanowania terenów podbiegunowych niejednokrotnie była przyczyną sporów między poszczególnymi państwami. Jeśli rzeczywiście ziemie te posiadają pokłady uranu i węgla oraz jeżeli istnieją możliwości eksploatacji tych pokładów, to podział Antarktydy wywoła napewno wiele konfliktów między narodami.

Dziś już do walki o ziemie te wystąpiło 7 państw: Anglia, USA, Argentyna, Chile, Norwegia, ZSRR i Austria. Każde z nich ma wielką chęć niepodzielnego zagarnięcia w całości nowoodkrytych krajów. Wszystkie te państwa albo już wysłały, albo pośpiesznie przygotowują naukowe badawcze ekspedycje, które oprócz zadań ściśle naukowych, posiadają pewne uprawnienia polityczne.

Według zwyczajowego prawa międzynarodowego, tereny, na których dany badacz zatknie sztandar jakiegoś państwa, stają się własnością bezsporną tego kraju.

Historia odkrycia nowej krainy datuje się od roku 1942, gdy jeden z samolotów niemieckich, przelatujący nad Antarktydą, zauważył niespotykane pod tymi szerokościami zjawisko. Otoczona ze wszystkich stron groźnymi górami i polami lodowymi, rozciągała się pod płatowcem ziemia wolna od oków lodowych, z wysokimi szczytami górskimi, błyszczącymi w blaskach słońca i zawierającymi wielkie złoża bogactw naturalnych. Jakim sposobem załoga samolotu stwierdziła istnienie tych złóż, jest tajemnicą.

Natomiast ujawniony został tajny raport złożony przez załogę tegoż samolotu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Rzeszy. Raport ten zaopatrzony jest w szereg zdjęć fotograficznych.

Raport ten wywołał duże zainteresowanie w byłym rządzie niemieckim i rozpoczęto obmyślanie szczegółów objęcia Antarktydy, jako kolonii niemieckiej.

Jednakże Inteligence Service działa. Agenci jego potrafili wydobyć kopię raportu, jak i zdjęć i mimo trudności wojennych zorganizowali w 1943 r. specjalną wyprawę do Bieguna Południowego. Wyprawa ta znana pod nazwą „Operacja Tabarin", pod dowództwem doświadczonego badacza polarnego, kontradmirała Marr, założyła swą bazę na ziemi Grahama, gdzie pozostaje do dziś dnia, przeprowadzając utrzymane w ścisłej tajemnicy badania, oparte na odkryciach niemieckich. Inne narody natychmiast po zakończeniu wojny, nie chcąc się dać ubiec Anglikom, przystąpiły do organizowania własnych wypraw polarnych. W najszybszym tempie wyprawę taką zorganizowały Stany Zjednoczone. Wyprawa ta przed kilku tygodniami wyruszyła na Morze Rossa. Składa się ona z 30 statków, 60 samolotów i około 5.000 fachowców, badaczy krajów polarnych. Na czele jej stoi doświadczony podróżnik i badacz Bieguna Południowego, admirał Byrd.

Inne kraje również czynią gorączkowe przygotowania do badań. Australia szykuje się do założenia bazy w okolicach podbiegunowych, która mogłaby służyć jako punkt wypadowy dla wypraw polarnych.

Norwegia przygotowuje wyprawę do Ziemi Królowej Maud, która wyruszy w 1948 r. ZSRR dotychczas nie zdradza swych projektów.

Najbliżej leżące Bieguna Południowego kraje Argentyna i Chile podnoszą wielki krzyk o prawa suwerenne, które jakoby posiadały do tych ziem. Prawa te nigdy nie były uznawane. Mimo tego noszą się one z zamiarem zaprotestowania przeciw obecności wyprawy amerykańskiej. Niedawno nawet rozpoczęły one kampanię wśród mocarstw zainteresowanych o stworzenie jednolitego frontu przeciw Stanom Zjednoczonym, odnośnie do spraw Antarktydy. Wszystko jednak przemawia za tym, że kampania ta nie da oczekiwanych rezultatów. Można natomiast stwierdzić, że dalsze losy Antarktydy zależą jedynie od wyników wyprawy admirała Byrda.

Oficjalnym celem wyprawy amerykańskiej na podstawie komunikatu dowództwa U.S.Navy jest zdobycie wiadomości technicznych i meteorologicznych, potrzebnych dla marynarki Stanów Zjednoczonych. W komunikacie zaznaczono, że kraje podbiegunowe kryją wiele tajemnic atmosferycznych półkuli zachodniej. Zbadanie tych tajemnic pozwoliłoby amerykańskiej służbie meteorologicznej na opracowanie na dłuższą metę przepowiedni pogody, pod tymi szerokościami geograficznymi. Zaznaczono również w komunikacie, że celem pobocznym wyprawy jest również sprawdzenie wiarogodności raportów niemieckich.

Takie są wypowiedzi oficjalne. Natomiast nieoficjalnie twierdzi się powszechnie, że Antarktyda chociaż bezludna i pokryta lodami, jest ostatnim lądem na naszej planecie, który nie został podzielony między poszczególne państwa, oraz, że odkryte przez Niemców złoża uranu i węgla, zostały już zbadane a obecnie chodzi jedynie o opracowanie odpowiednich sposobów — eksploatacji ich i transportu do krajów cywilizowanych.

W. Przyborowski.

Pomóż ofiarom powodzi!!!

Akademicka Spółdzielnia „XENON"

W grudniu 1945 roku powstała w Łodzi pierwsza spółdzielnia studencka. Inicjatorzy jej, słuchacze Wydziału Chemicznego Politechniki Łódzkiej rozpoczęli pracę z maleńkim, bo zaledwie 20.000 zł. liczącym kapitałem, zyskując dzięki swemu zapałowi i wytrwałości jaknajżyczliwsze ustosunkowanie się do swej akcji ze strony władz spółdzielczych.

Po roku pracy spółdzielnia przyniosła 28 milionów zł. obrotu, stając się nie tylko pożyteczną placówką handlu spółdzielczego, ale pełniąc jednocześnie poważne zadanie, dając możność nauki i egzystencji niezamożnej młodzieży akademickiej Wydziału Chemicznego Politechniki.

Młodzi spółdzielcy biorą żywy udział w życiu państwowym i społecznym o szerszym zakresie. Oto jeden z nich pokazuje nam dowód: 200.000 zł. przedterminowo na Daninę Narodową, a ostatnio 10.000 zł. na akcję pomocy dla powodzian przesłano na ręce Prezydenta Bieruta. Nic więc dziwnego, że ubiegłego roku ówczesny Premier tow. Osóbka-Morawski tak serdecznie poparł prośbę członków spółdzielni „Xenon" w sprawie przyznania koncesji na otworzenie hurtowni chemicznej. Niestety w tym roku koncesja ta została spółdzielni cofnięta przez Centrale Handl. Przem. Chem.

W obecnej chwili Spółdzielnia Xenon otworzyła własny sklep przy ul. Kilińskiego 180, zaopatrzony we wszelkie art. chemii stosowanej, chemikalia, pasty, kosmetyki itp. Magazyn główny mieści się przy ul. Piotrkowskiej 24. W pierwszych dniach maja zostanie na Kilińskiego otwarte Laboratorium Chemiczne, obsługiwane wyłącznie przez niezamożną młodzież akademicką, wyszkoloną fachowo pod kierunkiem profesorów Wydziału Chemicznego Politechniki Łódzkiej.

Marzeniem młodych spółdzielców jest zdobycie jakiejkolwiek fabryczki pomocniczej, których tyle niewykorzystanych czy zaniedbanych do dziś dnia można naliczyć w naszym mieście. Dyrekcja Przemysłu Miejscowego w Warszawie odniosła się do projektu tego z całą sympatią — szybkość jednak decyzji spoczywa w ręku Łódzkiej Dyrekcji Przemysłu Miejscowego, która mamy nadzieję — również ze swej strony udzieli pomocy i poparcia niezamożnej młodzieży, akademickiej naszego miasta w jej dzielnej i owocnej pracy.

Prawda o chińskiej kuchni

— Znacie tę anegdotkę? Znacie? — więc posłuchajcie:

Podróżnik europejski przypomina sobie na przyjęciu u pewnego mandaryna, że Chińczycy jadają koty i psy. Zapytuje więc zaniepokojony, wskazując palcem na spożywane pieczyste:

— Miau — miau?

Chińczyk czuje się dotknięty. Przecząco kręci głową i odpowiada z dumą:

— Ham — ham!...

Kiedy spytałem raz znajomego Chińczyka, bawiącego na studiach w Europie, czy Chińczycy naprawdę jadają psy i koty, syn „Krainy uśmiechu" odpowiedział mi na pytanie pytaniem:

— A czy wy ich nie jadacie? Z czegóż robią wasze serdelki i parówki?...

Zapewne. Słyszało się i czytało niemało o nieuczciwości europejskich Tasaków! Nasza anegdotyczna historia obcych obyczajów opiera się przeważnie na legendzie lub z palca wyssanych koncepcjach. Dotyczy to również naszych wiadomości o chińskiej kuchni.

— Tylko nie jedz pan za dużo smażonych glist! — ostrzega pewna pani młodego dyplomatę, udającego się po raz pierwszy na Daleki Wschód.

Znowu legenda! Chińczycy nie jadają żadnych glist, podobnie jak nie jadają ich Europejczycy. Ktoś widział raz pewnie Chińczyków jedzących chiński makaron z mąki soi, który ma wygląd oślizgły i jest cielistego koloru, no i jest legenda gotowa!

ZGNIŁE JAJA

— Ale zgniłe jaja przecież jadacie, temu chyba nie zaprzeczasz? — zapytuję znów mego Chińczyka.

Pan Hsiao-Iju-Mei, kandydat filozofii lipskiego uniwersytetu, uśmiecha się dobrodusznie i odpowiada:

— „Zgniłe jaja"! Jak to brzmi! — W każdym razie nie jadamy obrzydliwych waszych „zgniłych" serów, na samo wspomnienie których nasz Chińczyk krzywi się z odrazą!

Osławione chińskie „zgniłe jaja" w rzeczywistości nie są takie straszne. Preparuje się je w taki sposób, że poddaje się je specjalnemu procesowi fermentacji. Wskutek tego, białko ścina się galaretowato, a żółtko twardnieje na czarniawą masę. W każdym razie są bez zapachu i smakują jak nasze jaja na twardo.

Jedyną może osobliwością chińskiej kuchni u nas nieznaną, jest spożywanie na żywo maleńkich krabów, które podaje się tam w winnym sosie. Danie takie porusza się na półmisku lub podskakuje żwawo na talerzu. Cudzoziemiec patrzy na to z początku z obrzydzeniem, ale kiedy przypomni sobie, że przecież i my jadamy żywe ostrygi, zabiera się z czasem do krabów i naśladując Chińczyków, wysysa ze smakiem krabowe ogonki.

Poza tą osobliwością kuchnia chińska nie zawiera już nic takiego, co by było smakowi naszemu niemiłe. Chińczycy są smakoszami i dobrze dbają o podniebienie. Ich menu bywa bardzo urozmaicone i składa się z zasady z wielu dań, które spożywa się zresztą w ilościach mikroskopijnych. Co prawda, tych dań dlatego może wydaje się tak wiele, że w Chinach każdą naszą tzw. przystawkę podaje się osobno. Europejczycy mieszkający przez dłuższy czas w Chinach, dość prędko rezygnują z hotelowej europejskiej kuchni i przenoszą się do chińskich jadłodajni. I nie żałują tego. Przecież z resztą posiadamy i w Europie różne kuchnie, bardzo różniące się sposobem przyrządzania potraw i ich smakiem.

JEDZENIE PAŁECZKAMI

W restauracjach chińskich, odpowiadających rangą naszym miejskim jadłodajniom, podają przeciętnie na obiad czy na kolację — osiem do dziesięciu dań, każde na osobnym półmisku. Z półmisków tych goście nakładają sobie na talerz sami. Trudność sprawia im raczej jedzenie pałeczkami, gdyż ogół chiński po dziś dzień nie używa noży i widelców. Tej sztuki Europejczyk musi się dopiero nauczyć. Chińczyk bierze jedzenie z wszystkich półmisków tymi samymi pałeczkami. Nikt się tym jednak nie brzydzi, zważywszy, że Chińczyk nigdy tych pałeczek nie wkłada do ust. Przybliża je tylko do warg i zręcznym ruchem wrzuca do ust spożywaną potrawę, lub zdejmuje ją uchwytem warg nie dotykając pałeczek. Europejczyk natomiast ma z pałeczkami dużo kłopotu z początku zwłaszcza. Zależy to jednak od uzdolnienia. Niektórym wystarcza raz samo pokazanie i w lot pojmują. Lecz wielu jest takich, którzy nigdy nie mogą opanować tej sztuki. To też delikatni z natury i uprzejmi Chińczycy podają takim bywalcom swoich restauracji nakrycie europejskie.

CHIŃSKIE MENU

A oto jeden z przeciętnych restauracyjnych spisów potraw:

Jajecznica z siekaną szynką.

Mięso zapiekane w muszelkach, z kiełkami bambusowymi.

Duszona potrawka wieprzowa w ostrym sosie.

Kurza pierś obsmażana w białku.

Ciastka smażone na tłuszczu, faszerowane mięsem.

Zupa rybna.

Biała kapusta

Marynowane rzepki.

Kwaskowate ciastka z mąki z soi.

Jak widzimy z powyższego spisu, jedyną potrawą nam nieznaną, jest tylko jarzyna z bambusowych kiełków. Chodzi tu o młodziutkie pędy, latorośl bambusową, która jest bardzo delikatna i smakiem przypomina nasze młode laskowe orzechy.

Do powyższego menu dochodzi jeszcze ryż, herbata i wódka ryżowa, którą pije się przy każdym jedzeniu i zawsze na gorąco.

JEDZENIE LUDZI PROSTYCH

Oczywiście na obiad z dziesięciu dań nie może sobie pozwolić uboga ludność Chin. Zwłaszcza po ostatniej długotrwałej wojnie domowej stopa życiowa mas chińskich, nigdy nie wysoka, obniżyła się jeszcze bardziej. Obywać się musi nawet bez ryżu, o wódce ryżowej już nie mówiąc. 400 milionów mieszkańców Chin, na ogólną liczbę 440 milionów ludności, żywi się fasolą soi, makaronem i czarnym chlebem. Jak skromna i mało wymagająca pod tym względem jest ludność chińska, świadczy fakt, że np. szofer chiński, służący u Europejczyka, wstawia sobie do rachunku na koszt żywienia około naszych 10—15 złotych miesięcznie!

Reasumując wszystko cośmy wyżej powiedzieli, nie wygląda chińska kuchnia tak czarno i dziwacznie, jak ją malują!

K. ZRYW

Trochę uśmiechu

**
*

Siedziałem przy stole obok kogoś kto mnie pytał, czy dama naprzeciwko niego nie jest żoną człowieka, który siedzi obok niej i który nie mówi do niej ani słowa; odpowiedziałem: „Albo jej nie zna, albo to jest jest mąż".

**
*

Proponowano panu N... małżeństwo; odpowiedział: „Dwie rzeczy zawsze kochałem do szaleństwa: kobiety i bezżeństwo. Straciłem pierwszą namiętność, trzebaż zachować drugą".

**
*

Znany anatom Wirchow spytał na egzaminie studenta:

— Jaka jest funkcja śledziony w organiźmie?

Student zmieszał się i odpowiedział:

— Proszę mi wybaczyć, panie profesorze. Wczoraj jeszcze wiedziałem, a dziś nie mogę sobie w żaden sposób przypomnieć.

— Jaka nieszczęsna jest dola ludzkości — zawołał Wirchow. Istnieje jeden człowiek na świecie, który wczoraj jeszcze wiedział, jaka jest funkcja śledziony i mógł tyle dobrego zrobić dla nauki, a dziś o wszystkim zapomniał.

Redaguje — Komitet
Sekretarz Red. — Sergiusz Jaśkiewicz
Wydaje — Woj. Komitet PPS w Łodzi

Redakcja i administracja: Łódź: Piotrkowska 68, tel. 112-54
skrytka pocztowa nr 7

Godziny przyjęć: redakcji — 10 — 12
administracji — 9 — 17

Prenumerata: miesięcznie — 20 zł.
kwartalnie — 50 zł.

Cena ogłoszeń:
za milimetr — szpaltę 50 zł.

Skład: Druk. „Książka" Druk: Druk. „Czytelnik" w Łodzi.

D-015103



RABANKA

Polak zły-gdy głodny...

— Posty, Redaktorze, bywają dwojakie — powiada ob. Zielonka, — religijne i przymusowe. Obydwa się dla narodu naszego nie nadają, bo Polak kiedy głodny, jest zły.

Na post religijny obrażać się nie wypada, bo ma się wtedy prawo być co najwyżej smutnem. Ale kiedy post przymusowy Polaka przyciśnie, wtedy zjeżdżaj mu z drogi, bo możesz być bracie, niemożebnie przegrany.

Wiedzą o tem dobrze nasze kobiety i rzadko która naraża się mężowi przed jedzeniem. Bo kiedy chłop przychodzi do domu w głodnym widzie, a żona mu, zamiast odpowiedzialne danie postawić, o pieniądze albo co innego głowę zawraca — już da on jej pieniądze!

Kręcili i szkopy stryczek na własną szyję, naród nasz obżerając i jeszcze naśmiewając się z niego przez wywieszanie w oknach meinlowskich kiełbas i temu podobnych. Niejeden zdrowo za to kopytami trzasnął, bo jak przyszło co do czego, to głodny Polak lał w mordę dwa razy mocniej, niż ten najedzony!

A i dziś za największe ubliżenie każdy sobie uważa, kiedy dostanie marny przydział, albo kiedy kupić nie może tego, czego wolny jego obywatelski żołądek potrzebuje. Ale post demokratyczny jest prawie tak jak religijny i dobry Polak złościć się o niego nie powinien. Smucić się, owszem, może. Tego jemu nikt nie zabrania!

Takie uwagi filozoficzne na temat polskiej natury snuł ob. Zielonka, kiedy robiliśmy razem świąteczne zakupy.

— W święta, Redaktorze, jest co innego. Za większe forse dziś już wszystkiego w naszem kraju dostać można. A kto by sobie na święta żałował! Co najmarniej na dwa dni zapasy zrobić należy, żeby gości było czym przyjąć i żeby rodzinie niczego nie brakowało. No i o sobie pomyśleć wypada. Bo Wielki Tydzień to jest straszna rzecz! Nie dla tego, że post, bo Kościół już z temi postami tak jak dawniej nie rozrabia, tylko że żony nasze, czyli gospodynie, na nic czasu nie mają, prócz porządków — i gdyby nie to święte jajeczko, które każden mąż ma prawo już od Wielkiego Piątku — a co gorliwszy już i od Wielkiego Czwartku — obchodzić, nie daj B :e co by się po domach wyrabiało! Bo baby, czyli kobiety, są wtedy złe jak osy, a i głodne chłopy też cholernie cięte i nieustępliwe. Wymyślił po to Kościół te jajeczko, w którem jest i post i zapowiedź przyszłej frajdy świątecznej. Wolno je jeszcze z prostem ulikiem ożenić —no i pokropić odpowiedzialnie wódecznością, byle nie dużo! Nie więcej jak po półlitrówce na głowę, żeby sobie smaku na święta nie popsuć!

Bo są tacy frajerzy, co się już w Wielki Piątek na całego zaprawiają i potem nie ma już z niemi zabawy. Całej rodzinie uroczystość psują, zabradziażenie domu robią i rodzone dzieci na wstyd narażają. Bo wtedy inne z podwórka ubliżają im i śmieją się: „Strąbił się wasz stary — powiadają — pies mu mordę lizał! Na czworakach do domu zapychał, kizior! Widzielim wczoraj wszystkie na własne oczy!

..No tu wejdźmy! Podoba się mnie ta grubokrajana kiełbasa, a i schab, widzę, wisi pierwszoklaśny!

Po wyjściu z sklepu, ob. Zielonka tak kończył senne swoje wywody: — Minęli te caszy, kiedy każdy jeden Polak po pół świni na Wielkanoc opychał i jeszcze całem prosiątkiem dokładał. Zmarniał teraz naród i ani fasonu, ani dawniejszego humoru już nie posiada. Ja bym najlepiej wszystkie leformy w Polsce od tej świętej Aprowizacji zaczął. Podobnież w sejmie, w milicji i w innych urzędach od obiadu wszystkie czynności bym zaczynał. Łagodniaki byliby wtedy wszyscy, bo i sam Mikołajczyk inaczej by po większej wieprzowej gadał, a i te inne z opozycji, zarazby lepszym okiem patrzeli na te nasze demokracje. A żeby tak jeszcze pod każdem lasem odpowiedzialne sagany z gorącem bigosem, furą chleba i flachą przepisowej gołdy popostawiać — powyłaziłyby wszystkie i bez amnestii. Bo to by ich niemożebnie rozbroiło!

...No, i tu wstąpmy, bo aż się do mnie uśmiecha ten dyszek cielęcy! Trzebaby go tylko dobrze podczostkować i na mocniejszym ogniu upiec, żeby skórka była chrupiąca. A potem trzebaby się i za chrzanem obejrzeć, bo jak powiadają, bez ćwikły w święta, podobnież jak bez tej większej wódki — całe święcone jest „do chrzanu"!

KIEŁ.

Ze skarbca anegdot

O STAROŚCI

Pewna wielbicielka *zapytała kiedyś* Aleksandra Dumas:

— Jak udaje się panu mimo starości tak wytwornie wyglądać?

— O widzi pani, ja poświęciłem temu całe życie — odpowiedział pisarz.

ŚWIETNY LEKARZ

Ludwik XIV spytał kiedyś Moliera:

— Czy to prawda, że ma pan domowego lekarza? Jaki on?

— Świetny — odpowiedział dramaturg. — Przyjeżdża, rozmawiamy sobie na różne tematy, on zapisuje lekarstwo, ja go nie zażywam, on nie zwraca na to żadnej uwagi i w końcu... wracam do zdrowia.

NIEODPOWIEDNI TYTUŁ

Słynny bajkopisarz Kryłow był kiedyś na przedstawieniu swojej komedii „Lekcja dla córek". Rolę dwóch młodziutkich dziewcząt grały znane w owym czasie aktorki — Siedmionowa i Samojłowa. Obie były w podeszłym wieku i dość korpulentne.

No i jak podobały się panu pańskie córki? — spytał ktoś znakomitego bajkopisarza po przedstawieniu.

— Cóż — dobrodusznie odpowiedział Kryłow — obie bardzo dobrze zagrały swoje role — tylko ja zrobiłem kardynalny błąd.

— Mianowicie? —

— Dałem sztuce nieodpowiedni tytuł. Powinien brzmieć nie „Lekcja dla córek", tylko „Lekcja dla babek".

NA CZYM POLEGA RÓŻNICA.

Pewnego razu ktoś zapytał dyrygenta Hansa Buelowa: — Jaka jest różnica między dobrym a kiepskim dyrygentem.

Buelow bez namysłu odpowiedział:

— Dobry dyrygent ma zawsze w głowie partyturę wykonywanego utworu, a kiepski dyrygent na odwrót — trzyma głowę w partyturze.

ZEMSTA HEINEGO

Heine otrzymał kiedyś duży i gruby list, za który musiał uiścić dopłatę. W liście owiniętym papierem, znajdowała się kartka z napisem:

„Czuję się dobrze. Twój..."

Wkrótce przyjaciel otrzymał ciężką walizkę, za której przesyłkę musiał zapłacić sporą sumę pieniędzy. W walizce leżał duży kamień, a przy nim kartka z następującymi słowami:

„Przy otrzymaniu wiadomości o twoim dobrym samopoczuciu spadł mi ten kamień z serca. Twój Heine".